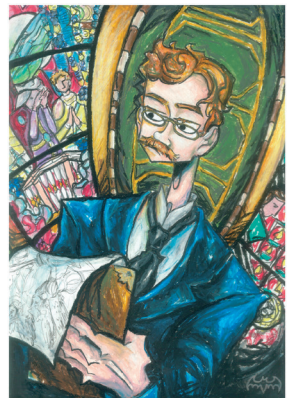


ŚLADAMI LOKALNYCH BOHATERÓW



PUBLIKACJA POKONKURSOWA

ŚLADAMI LOKALNYCH BOHATERÓW

Publikacja pokonkursowa

Turek 2022

Autorzy:

Michał Hadław, Agata Kukuła, Adam Nejme, Julia Witczak,
Marta Cieślak, Katarzyna Rosiak, Gabriela Marciniak,
Maria Śmigielska, Aleksandra Skąła, Dominika Piątkiewicz,
Amelia Marczak, Amelia Kaczorowska, Maja Zygoń,
Marcel Tomczak, Konrad Cieślak, Lena Łuczak, Julia Andrzejak

Ilustracje:

Gabriela Woreta, Bartosz Piekarski, Amelia Ulańska, Marta Cieślak,
Zofia Jesiołowska, Olga Krótkiewicz, Gabriela Przygońska

Korekta:

Ewelina Derucka

Copyright © by Miejska Biblioteka Publiczna
im. Włodzimierza Pietrzaka w Turku

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna im. Włodzimierza Pietrzaka w Turku

Rok 2022

ISBN 978-83-61958-10-9

Nakład: 500 egz.

Druk:

Centrum Poligrafii Sp. z o.o.

Publikacja powarsztatowa „Śladami lokalnych bohaterów” powstała w ramach projektu „Śladami lokalnych bohaterów” i stanowi część Zadania „Działajmy razem - wielkie rzeczy w małym mieście” finansowanego z

**BLISKO – BIBLIOTEKA | LOKALNOŚĆ | INICJATYWY |
SPOŁECZNOŚĆ | KOOPERACJA | ODDOLNOŚĆ**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w ramach realizacji Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0. na lata 2021-2025.

Spis treści

Wstęp - Nie sam Mehofffer	6
MICHAŁ HADŁAW	
...Był szary grudniowy dzień	9
AGATA KUKUŁA	
Chodzący mrok i zapłata	18
ADAM NEJME	
Francja, Paryż 17.XI.1831	30
JULIA WITCZAK	
W kawiarni z Tomiłą Składkowską	39
MARTA CIEŚLAK	
Wielkie marzenia w małym mieście	53
GABRIELA MARCINIAK	
Poetycki spacer	60
MARIA ŚMIGIELSKA	
Zaginiony obraz	68
ALEKSANDRA SKAŁA	
Historia rodzinna	82
DOMINIKA PIĄTKIEWICZ	
Niesamowita przygoda	87
AMELIA MARCZAK	
Dzieje polskiego generała	95
AMELIA KACZOROWSKA	
Spotkanie z Cesarzem	104
MAJA ZYGOŃ	
Ławeczka Józefa Mehoffera	110
MARCEL TOMCZAK	
Z Łowicza do Turku	113

KONRAD CIEŚLAK	
Historia pradziadka	120
LENA ŁUCZAK	
Zaszczytna wizyta w Białym Domu	126
JULIA ANDRZEJAK	
Śladami lokalnych bohaterów	129

Wstęp - Nie sam Mehoffer

Tomisława Składkowska... Leon Kruszyński... generał Smorawiński, ksiądz Orzechowski. To tylko niektóre nazwiska, pojawiające się w tym zaskakującym zbiorze, napisanym przez młodych czytelników. Przez młodzież szkolną, która czasami by się wydawać mogło, postrzega historię, wiedzę na jej temat, a nader wszystko świadomość, skąd się wywodzi, jako swoisty archaizm. Rzecz tak przestarzałą i niemodną w swojej wymowie, zwłaszcza w dobie komunikatorów i komórek, że nie warto się nią zajmować. Lecz tutaj mamy pierwszą z dwóch niespodzianek. Tekstów bowiem napłynęło całkiem sporo i w przeważającej większości, wydały się nam świeże oraz niezmiernie ciekawe.

Miałem ogromną przyjemność być jednym z jurorów w konkursie, którego uwieńczeniem jest niniejszy zbiór. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że przeważać będą teksty o wiadomej postaci z dziejów Turku, która przecież stanowi największą chlubę miasta, także dzisiaj. Tak się jednak nie stało. I pomimo że należy cenić naszego Artystę, niezmiernie mnie taki stan rzeczy ucieszył. Była to druga z dwóch niespodzianek, których doznałem podczas lektury tekstów. Świadczą one obie o tym, że młodzież nie zawsze idzie na skróty, podążając utartymi szlakami. Ci autorzy szukali dla siebie odpowiednio oryginalnego tematu.

Rozpiętość możliwości literackich Naszych pisarzy, jest zauważalna, zdarzają się błędy, czy anachronizmy, lecz nie to jest tutaj istotne. Teksty bowiem wskazują na dużą świadomość tego, co powinno być postrzegane jako wzór do naśladowania. Bohaterem więc, w ciekawym tekście o księdzu Michale Orzechowskim jest człowiek, który godnie i świadomie przeżył swoje życie, jako działacz, propagator wiary, osoba skromna i dobra. To odniesienie do postaci bohatera bardzo mnie ujęło.

W niektórych utworach, co muszę zauważyć, wkradały się nieco niezgrabne formy encyklopedyczne, lecz myślę, że można przymknąć oko, na to i owo.

Są tu również co najmniej dwa teksty ciekawe stylistycznie, wskazujące na duży potencjał autora, wymagające być może jakiegoś elementu, tak zwanego kończącego utwór twistu. Tak jest choćby z jednym z moich ulubionych, opowiadaniem „Chodzący Mrok i Zapłata”, gdzie historia Leona Kruszyńskiego, staje się zabawną wymówką, służącą opowiedzeniu historii raczej z pogranicza mrocznego fantasy, niż opowieścią o słynnym człowieku. Innym jeszcze, budzącym uwagę ze względu na dużą zgrabność operowania językiem, jest opowiadanie „Francja, Paryż, 17 X 1831”. Ten tekst jest już nieco bardziej w temacie, choć jego autor nie do końca uniknął stylistyki rodem z podręcznika do historii.

Reasumując, historia jako nauka o dziejach nie budzi takiego zainteresowania, jak powinna, dla wielu wydaje się nudna, wielu też młodych nie zna jej zakamarków i nigdy nie będzie czuła tego „bakcyła”, nie zbliży się nawet na krok do muzeum, czy biblioteki, aby poznać losy swojego miasta i jego bohaterów. Z drugiej strony, świadomość, że istnieją takie konkursy i cieszą się one dość dużym zainteresowaniem, świadczyć może niezbitie, że jest jeszcze sporo do odratowania. Nadzieja między innymi w autorach tego tomiku, że poniosą w świat swój entuzjazm i wykorzystają talent. Że historie opisane przez nich przetrwają i będą dalej opowiadane następnym pokoleniom.

Jarosław Klonowski

I NAGRODA – MICHAŁ HADŁAW ***...Był szary grudniowy dzień***

Był szary grudniowy dzień. Wracalem do domu przez park, w którym drzewa kasztanowca pozbawione były liści. Padał drobny śnieg, było pusto. Kto spacerowałby w taką pogodę? Nagle na końcu jednej z alejek zobaczyłem starszego Pana, który siedział i wpatrywał się w stojący za parkanem gotycki kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Był to siwy, zgarbiony mężczyzna w wieku około osiemdziesięciu lat. Spojrzał na mnie nieśmiało i uśmiechnął się.

- Pewnie zastanawiasz się co tutaj robię - powiedział.

- Przechodziłem, spojrzałem na majestatyczne ściany świątyni i wróciły wspomnienia.

Staruszek wzruszył się i mimo panującego zimna kontynuował swoją opowieść. Przysiadłem obok na ławce.

- Jesteś bardzo młody, więc pewnie nie znasz tej historii, chętnie ci ją opowiem. Ja ją będę pamiętał do końca moich dni. Kiedy byłem małym chłopcem, ojciec opowiadał mi wieczorami o budowie tego kościoła i wspominał o niesamowitym człowieku, księdzu Michale Orzechowskim. Urodził się on w 1832 roku, jego rodzicami byli

Maciej i Rozalia. Bardzo dbali o jego edukację. W 1849 roku ukończył szkołę powiatową w Sieradzu, potem uczęszczał na prywatne lekcje łaciny, by móc wstąpić do seminarium, które kończy, otrzymując święcenia kapłańskie w 1855 roku. Swoją pracę wykonywał w okolicznych parafiach, na początku były to: Sędzin, Bytoń, Lubraniec, Zgłowiaczka potem Błenna i Turek. Gdziekolwiek pracował, postrzegany był jako człowiek o niesamowitym zaangażowaniu i poświęceniu.

- Tata mój opowiadał, że wiele osób czekało do późnych godzin nocnych, by móc się wyspowiadać u księdza Michała. Okoliczni mieszkańcy przekazywali sobie informacje o niesamowitym kaznodziei, dzięki któremu wiele osób rzucało nałóg pijaństwa .

- Pamięta Pan coś jeszcze o tym kapłanie, to bardzo interesująca historia, a tak się składa, że mam napisać pracę o lokalnym bohaterze. Gdybym miał więcej informacji, chętnie napisałbym o tej postaci.

- Chłopcze bardzo chętnie opowiem ci wszystko co wiem
- powiedział staruszek.

- Chodźmy może, tutaj w pobliżu została otwarta kawiarnia, będziemy mogli tam spokojnie porozmawiać - powiedziałem.

W milczeniu przeszliśmy kilkadziesiąt metrów. Weszliśmy do pięknie wyposażonej kawiarni, w oknach stały jutowe worki pełne ziaren, a w powietrzu unosił się zapach parzonej kawy.

Usiedliśmy przy kominku, palone kawałki drewna wydawały charakterystyczny dźwięk, za oknem nadal prószył śnieg, czułem się jakbym przeniósł się do „dawnego Turku”. Pan Stanisław, bo tak na imię miał mój rozmówca, rozpoczął dalszy ciąg swoich wspomnień.

- A więc słuchaj młody człowieku - oznajmił. - W czasie powstania styczniowego ksiądz Michał, po bitwie pod Brdowem pojechał z ostatnią posługą na pole walki, wraz z towarzyszącymi mu osobami zostali napadnięci przez kozaków, oleje święte, które miał ze sobą zostały powylewane i zniszczone, ksiądz Michał trafił do więzienia w Kaliszu. Pisano o nim, że to kapłan z najgorętszą wiarą i poświęceniem, który miłuje Boga i bliźnich nie językiem i wargami, ale uczynkiem i prawdą.

-Kiedy trafił do Turku, zaprzyjaźnił się z moim tatą. Często bywał gościem w naszym domu. Tata wspominał, że zaangażowanie i poświęcenie dla wykonywanej pracy nigdy go nie opuszczało. Przy parafii organizował działalność charytatywną i dobroczynną. Powołane w 1902 roku Towarzystwo Wspomagania Biednych, organizowało pomoc dla najbardziej potrzebujących liczyło ponad 200 członków, dostarczało odzież, przygotowywa-

ło posiłki i zapewniało opiekę medyczną. Z inicjatywy księdza Michała powstała w Turku ochronka dla dzieci i przytułek dla starców.

- Kolejna bardzo ważna kwestia dotyczy sprowadzenia do Turku, dzięki staraniom księdza Michała, Sióstr Miłosierdzia Bożego. Rozpoczęły one pracę w szpitalu, prowadziły i ochronkę i przytułek parafii. W tym roku po ponad stu latach, Sióstr Miłosierdzia już nie będzie, gdyż z powodu malejącej liczby powołań, zakon w tym roku opuszcza Turek, kończy się jakaś epoka.

Z wielkim podziwem słuchałem niczym bajki opowieści o planach budowy nowego kościoła i wielu problemach związanych ze zgodą na rozpoczęcie tej inwestycji tego kościoła, który podziwiałem, siedząc w parku.

- Pomysł budowy, przyniosło samo życie, gdyż kiedy ksiądz Orzechowski trafił do Turku, wzrosła liczebność wiernych, niewielka świątynia nie była w stanie pomieścić wiernych przybywających na msze święte. Dlatego ksiądz Michał rozpoczął starania o budowę nowego, trzy razy większego kościoła. Potrzeba budowy była umotywowana z jednej strony złym stanem kościoła parafialnego, a z drugiej zbyt małą powierzchnią w stosunku do liczby wiernych. Władze carskie zwlekały z wydaniem zgody. W 1904 roku powołano komitet budowy nowego kościoła i rozpoczęto jego wznoszenie na murach

poprzedniej świątyni.

- Słuchaj chłopcze teraz uważnie, bo to scena niczym z horroru, i gdy mury nowej świątyni wybudowano na wysokość 15 metrów, jeden z filarów wybudowany na pozostałości starego muru zaczął opuszczać się i pękać. Podejmowano wiele prób ratowania tej ściany. Nie pomogły jednak żadne zabiegi. Szóstego października 1906 roku o godz. 20:30 ściana uległa zawaleniu. Wydarzyło się tuż po zakończonym nabożeństwie różańcowym. To, że wtedy nikt nie zginął, to zasługa tylko opatrności Bożej - stwierdził mój rozmówca.

- Nowa ściana leżała cała w gruzach, a wszystkie pozostałe popękały. Z relacji taty pamiętam, że po tej katastrofie parafianie stracili nadzieję na powstanie nowej świątyni. Wielu uwierzyło w słowa jednego z dawnych proboszczów tureckich, które zostały wypowiedziane w połowie XVIII wieku. Ów proboszcz w swoim pierwszym kazaniu na nowej parafii, mówiąc o kuszeniu przez szatana, iż diabeł obiecywał mu wiele pięknych miejsc na świecie, ale właśnie Turek „ogonem nakrył”. Do 1908 stopy gruzów leżały nietknięte. Kapłan sprawował liturgię, stojąc na najwyższym stosie gruzów, a dachem był własny parasol. Ksiądz Michał był już bardzo schorowany, na czele nowego komitetu budowy stanął ksiądz Mateusz Grabowski.

Kiedy Pan Stanisław kończył opowieść, smutek malował się na jego twarzy. Słuchałem z niedowierzaniem tej historii, całą wypowiedź nagrywałem, oczywiście za zgodą mojego rozmówcy .

- Przepraszam, ale już nic więcej nie pamiętam.

Nieoczekiwanie dostrzegłem błysk w oczach Pana Stasia.

- Zapomniałem o jednej bardzo ważnej rzeczy, „Orzech”, bo tak mieszkańcy mówili o proboszczu, dokonał jeszcze jednej wspaniałej rzeczy. Posiadał umiejętność jednoczenia ludzi. Przeważająca część mieszkańców Turku była wyznania rzymskokatolickiego (ok.60%). Kolejne grupy wyznaniowe to ewangelicy i gmina żydowska. Wielokrotnie społeczeństwo katolickie i protestanckie uczestniczyło w ważnych momentach lokalnej społeczności, co świadczyło o poprawności we wzajemnych relacjach i wzajemnej zgodzie pomiędzy religiami w jednym mieście. Ostatnia smutna, choć dla tak wierzącego kapłana radosna kwestia dotyczy śmierci i pogrzebu księdza Michała. Zmarł on pod koniec 1912 roku, jego pogrzeb był manifestacją jedności religijnej. Na turkowski cmentarz odprowadzili go katolicy, protestanci i żydzi. Źródła podają, że w nabożeństwie pogrzebowym uczestniczyło około 10 tysięcy osób.

Staruszek nagle zerwał się z krzesła. - Muszę wracać do domu - powiedział.

- Co teraz? - pomyślałem.

Zabieram się do pisania, by jak najwierniej i jak najpiękniej oddać sens i prawdę tego niesamowitego spotkania.

Najtrudniej jest zrobić pierwszy krok. Kiedy przeglądałem biografię lokalnych bohaterów mojego regionu, nie mogłem się zdecydować, kogo wybrać, bo nie wiedziałem jakiego bohatera szukam. Ale dzięki mojemu dzisiejszemu spotkanie wybór dokonał się sam.

Ta historia uświadomiła mi, że bohaterem powinien być ktoś, kto zasługuje na pamięć nie tylko za wszystkie swoje czyny, ale za to jakim był człowiekiem. Powinien mieć coś wspólnego z bajkową czy filmową postacią, którą się podziwia i pamięta. Powinien być postacią pozytywną, wyrazistą i nie budzącą kontrowersji. Ksiądz Michał Orzechowski to człowiek z charyzmą, wielkim sercem i świetny gospodarz. Może dzięki niemu stwierdzenie, że Turek „diabeł ogonem nakrył” jest tylko legendą.

Zapoczątkowana przez niego budowa kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa jest pomnikiem dla pokoleń. Do dziś zadziwia swoim pięknem i jest obecnie

najbardziej rozpoznawalnym i najcenniejszym skarbem architektury w naszym regionie. Tak oto kończy się opowieść o niesamowitym spotkaniu , które zapamiętam na zawsze.

Wspomnienia Pana Stasia to potwierdzenie popularnej myśli, że żyjemy tak długo, jak długo się o nas pamięta.



ECHO TURKIE

II NAGRODA – AGATA KUKUŁA

Chodzący mrok i zapłata

Retrospekcja

Dawno temu, bo w roku 1863 podczas lata w godzinach wieczorowych mały Leoś biegał, śmiejąc się w niebogłoso, po polu pełnym słoneczników. Podczas gdy lekki wiatr smagał krótkie ciemne włoski chłopca, spostrzegł on w oddali na niebieskim niebie szare, można by rzec nawet czarne smugi, które przebijane były tylko czerwonymi ognistymi blaskami. Chichot ustał. Nagle dziecko usłyszało w uchu cieniutki, ale jakże piękny głos wołający go o pomoc. Szept ten przypominał anielski śpiew, ale w każdym razie wydźwięk tych słów był najpiękniejszą melodią, jaką usłyszał on w swoim życiu.

Młodzieniec mimowolnie zaczął poruszać się w stronę pomarańczowych blasków, im był bliżej nich, tym półgłos stawał się wyraźniejszy, a dym zaczął dotykać i kąsać jego ciało. Zrozumiał, iż odbłaskami były języki ognia wynurzające się z okiennic małej drewnianej chatki.

Niestety, zrobił on to dopiero wtedy, kiedy pieśń o pomoc grana przy jego twarzy ustała, po tym jak znalazł się w środku płomieni. Pocztał gorąc, duszność

i upał, jakby został zesłany do piekła. Miał wrażenie, że wybudził się spod czyjejś kontroli. Nie wiedział, co zrobić, jak się wydostać z żarzącego się domku. Wpadł w panikę. Z niewiadomego miejsca usłyszał kwiki i bolesne szczekanie pieska. Zwierzę podeszło do chłopca, oplatając jego nogę swoimi zębami, jakby zwracając jego uwagę i pokazując mu łebkiem drogę do wyjścia przez okno.

Cud objawiający dziecku tego szczeniaka sprawił, iż obojgu udało się uciec z połykanego przez śmiercionośny żywioł domku. Podczas gdy leżeli na trawie po ucieczce z tego koszmaru, próbując unormować oddech, Leosł spojrzął na psinę. Ich oczy się spotkały dzieciak odnalazł w nich ból, zmęczenie, ale i miłość wymieszaną z tęsknotą, lecz uczucia te nie były zwykłe, miały w sobie cząstkę czegoś, czego nie dało się określić, jakby cierpienie nie ciała, które może ustać, lecz duszy, które boli do końca. Martyrologia ta była posypana Bożym blaskiem, uświęceniem i nutką szczęścia mimo rozrywającego męczeństwa. Obraz ten wyrył się w pamięci chłopca jak najtrwalsza blizna na sercu spowodowana raną z prawdziwej miłości.

Chłopiec ze zmęczenia odplynął w krainę Morfeusza, leżąc na chłodnej trawie, a gdy się zbudził, ptaki ćwierkały, ale zwierzęcia nie było. Zaczął się zastanawiać, czy nie był to tylko sen, ale skąd w takim

razie miałyby się wziąć przypalona koszulka i plamki brudu na dłoniach.

Koniec retrospekcji

~Terazniejszość, rok 1874~

Kruszyński każdej nocy miał sen, w którym widział piękno śmiertelności motywu, pożerającego niegdyś miejsce czyjś zamieszkania, zawsze przy tym słyszał błagalną pieśń o pomoc i widział oczy psa, w których odbijała się Boża dłoń. Uważał ten sen za cień, który go prześladował, powodował, że nigdy nie poczuł się samotny przy zasypianiu, ale dziwnym trafem nie czuł się z tym źle.

Właśnie to przez ten mrok w 1874 roku został współorganizatorem Straży Ogniowej, odczuwał, że może w ten sposób spłaci dług niebiosom za uratowanie życia przed ogniem, a pomroka może w końcu zostawiłaby jego odbicie. Jednakże tak się nie stało. Poczł jedynie ciepło na sercu, widząc uśmiechy ludzi przy otwarciu straży. Chociaż nie, tamtej nocy, gdy zdecydował się zostać współorganizatorem, ballada w jego śnie zmieniła na jedną noc swój wydźwięk na jeszcze bardziej obezwładniający umysł, serce i duszę.

Gdy decydował, na jakie studia pójdzie, myślał o psie, który go uratował, zawsze kochał zwierzęta i fascynowało go to, że mogą one być przyjaciółmi ludzi.

Tak więc studiował weterynarię, został lekarzem z nadzieją, iż sprawi, by jak najmniej ludzi traciło swoich kompanów, którzy nie raz pewnie odwodzili ich od złych myśli czy ratowali przed samotnością.

W swojej długiej karierze spotkał wiele najróżniejszych przypadków chorób i diagnoz, które stawiał swoim małym, jak również tym większym pacjentom. Lubił swoją pracę, a najbardziej to, że mógł komuś pomagać odczuć ulgę w bólu lub pomóc w poprawie samopoczucia.

Nie miał w zwyczaju spotykać jakichś nadprzyrodzonych przypadków, więc to, co zdarzyło mu się pewnej sierpniowej nocy, zdumiało go.

Weterynarz z miłości do swojej pracy często zostawał po godzinach, pomagając swoim podopiecznym jak najlepiej umiał, dlatego nikogo nie dziwiło, że wyszedł ze swojej kliniki koło godziny 1 rano.

Podczas gdy jego ciało spotkało się z orzeźwiającym powiewem letniego wiatru, a gałęzie drzew stojących przy budynku rozpoczęły swój taniec, mężczyzna zobaczył zjawę. Postać o oczach, które nawiedzały go każdej nocy, przy każdym mrugnięciu. Czuł, jakby oczy te wciągały go do siebie.

Usłyszał tylko „Ciiiiiiiiii” nakazujące mu zachowanie ciszy oraz chichot jakby prześmiewczy, szyderczy, nie wydobywał się on jednak ze strony, w którą spoglądał, tylko z przeciwnej. Leon odwrócił się, spowiła go ciemność. Nie był już koło swojego miejsca pracy, lecz na polanie. Patrzył na ognistą przepaść. Nie był sam, co z jednej strony go cieszyło, a z drugiej mroziło krew w żyłach, bowiem był z nim pies, jak również spowita złem osoba.

Miała ona czarno-czerwoną skórę, jakby zwęgloną, w jej oczach pląsały ogniki wyrażające chęć mordu, odrazę, obrzydzenie wobec obiektu, w który się wpatrywały. Można było dostrzec, iż czartem tym była kobieta ubrana w popielate jakby spalone pasy, oplatające jej ciało, stopy jej były bose. We włosach czarnych jak smoła było widać iskry. Czuć było od niej aurę nikczemności, potępienia, podłości i zniszczenia, jakby właśnie to jej obecność przynosiła.

Wzrok jej był skierowany na pana ubranego w biały kitel, którego zapomniał ściągnąć przed wyjściem ze zwierzęcego szpitala. Weterynarz czuł się, jakby zjawa chciała wyssać z niego całe życie. Spojrzał na swoją, jak sądził, jedyną pomoc, psinkę drepcząca z prawej strony. Usłyszał w głowie głos, jakby telepatycznie wysłaną myśl, a czas się zatrzymał. Przekaz ten brzmiał:

- Będzie dobrze. Pozwól, że wszystko ci streszczę. Jestem Xia, anielica, a zarazem twoja zmarła żona z poprzednie-

go wcielania. Byłeś wtedy cesarzem chińskim, byliśmy bratnimi duszami zesłanymi przez niebiosa - brzmiał ambrozyjski głos.

- A-a-a-ale ja nie rozumiem, co się dzieje, nic nie pamiętam - rzekł zakłopotany.

- Spokojnie, nie liczyłam na to, zazwyczaj nie pamięta się poprzednich wcieleń. Jesteśmy tu jednak z powodu innej sytuacji. Krótco po naszym ślubie dowiedziałam się, że choruję na nieuleczalną chorobę, która każdego dnia jak pijawka spijała ze mnie całe życie, pozostawiając mnie jedynie chodzącym trupem. Resztę pokażę ci inaczej...

Retrospekcja

~MYŚLI~

Miłość mojego życia. Moja Afrodyta...czuję bezsilność, która zabija mnie razem z nią. Niestety nie spowoduje to, że odejdę razem z nią w zaświaty. Xia niegdyś miała piękną rumianą skórę, nieodłączny uśmiech, który dodawał jej blasku. Nie była aż tak szczupła jak teraz, gdy ta przypadłość ją zżera, nie była też puszysta, była idealna.

Zawsze życzliwa i miła, podnosiła mnie, gdy to ja wpadałem w czeluści ciemniej otchłani powodowanej stresem i złością zarządzania całym impe-

rium. Była wtedy moją błogą Panią, która jak silny anioł wyciągała mnie z tego kanału na swoich skrzydłach i prowadziła w swoje ramiona będące rajem, gdy te moje były podziurawione jak sito.

Jedyne, co mi pozostało i może uratować moją miłość po wielu próbach leczenia, miksturach, znochorach i mędrkach ściąganych z różnych zakątków świata, to udanie się do pewnej kobiety. Kobiety, której imienia boi się wypowiedzieć każdy. Nie jest znane o niej prawie nic, chociaż krążą o niej plotki, głównie powtarzane przez starsze panie na targach. Z informacji mi dostarczonych wiadomo, iż jest „diaboliczną wiedźmą rzucającą klątwy”, ma podobno władzę nad jednym z żywiołów natury, lecz nikt nie wie, nad którym z pięciu, podobno jest w stanie przywrócić życie umarłym, poruszyć serce, ale i je zatrzymać za opłatą będącą tajemnicą.

Mimo upiornego brzmienia zdecydował się zawitać u enigmatycznej kobiety. Wszedł do ciemnego skalnego otworu prowadzącego do mieszkanka. Było w nim czuć wilgoć oraz chłód, dało się wyczuć negatywną energię z tego miejsca, atmosferę dało się ciąć nożem tak ostrym jak miecz przewieszony na pasku władcy. Czarodziejka, nie odwracając się, powiedziała:

- Wiedziałam, że do mnie przyjdiesz, chłopcze, wiem

również, co cię sprowadza w moje progi, ale wiedz, że cena, której żądam, nie będzie niska - mówiła mrocznym, potężnym głosem.

- Oddam Tobie wszystko, wszystko, czego zapragniesz, błagam tylko uratuj moją żonę - powiedział tonem łamiącym, błagalnym jak u małego chłopca, a nie potężnego władcy.

-Wszystko powiadasz? - dopytywała.

- Tak - powiedział dobitnie.

Tak więc diablica uratowała jego żonę, nie dała tylko, w jaki sposób. Bowiem głównym celem tej wizyty dla cesarza było wyleczenie małżonki, a czarownicy dostanie zapłaty za wykonanie zadania. Jak obiecała, tak zrobiła, wyleczyła lubą panującego, ale z cierpienia, które co prawda ustało, lecz wraz z nim zamilkło serduszko cesarzowej.

Gdy rządzący się o tym dowiedział, chciał skazać na śmierć babę-jagę, ona jednakże cały czas przypominała się tylko o swojej zapłacie. W złości w czasie jednej z kłótni z zabójczynią mężczyzna zapytał:

- Co więc jest tą zapłatą, podła okrutnico? - nie powstrzymał się jednak od kilku wyzwisk.

- Otóż, mój drogi, ceną, którą poniosłeś za moją usługę, jest...twoja dusza - szeptała na początku drwiąco, zmieniając ton na szatański.

Po tych kilku zdaniach, które władca słyszał w głowie jak mantrę, doszedł do wniosku, iż wolałby się zabić niż oddać swoją duszę takiej złośnicy.

I tak zrobił. Odebrał sobie życie, spożywając wino przygotowane ze specjalnym składnikiem. Jako iż był świetnym botanikiem, o czym mało osób wiedziało, dobrał specjalne trujące rośliny, sporządził z nich wywar śmiertelności. Zabrał swoją duszę w zaświaty, powracając do życia dopiero w 1857 jako Leon Kruszyński.

Demon, dowiedziawszy się o tym, obiecał sobie prześladować go do momentu, w którym odbierze swoją zapłatę.

Koniec retrospekcji

- To ona także była śpiewem w twojej młodości, który doprowadził cię do żarzącego się domku - powiedziała suzka spokojnie.

- Brzmi to nieprawdopodobnie..., ale zastanawia mnie, dlaczego miałabyś mi jednak pomagać - mówił słabo.

- Czyż to nie oczywiste? Kochałam i kocham cię ponad życie, doceniam również twoje starania i zawziętość o moje zdrowie, a poza tym obiecałam ci zawsze nad tobą czuwać i mieć ciebie w opiece - mówiła jakby z radością w głosie.

- KONIEC TEGO! - wykrzyczała ze złością i gniewem diablica.

Czas się poruszył, ziemia zadrżała, a czarny charakter zaczął się unosić nad gruntem, jakby w płomieniach.

- Jam jest Nerra, demon szerzący zagładę i zgrozę. Nie masz prawa mi się opierać, śmiertelniku! - krzyczała.

- ODDAWAJ SWOJĄ DUSZĘ, OSZUŚCIE! - ze zgrozą domagała się postać.

Niespodziewanie jednak, gdy diablica zaczęła się zbliżać, suczka zaczęła wydobywać z siebie jasne, a wręcz oślepiające promienie i ukazała się w formie Xia, gdy ta była zdrowa. Ubrana w piękną, drogą szatę, uszytą z najwyższej jakości jedwabiu, przyozdobioną złotą nitką. Jej złociste włosy rozsypały się na ramionach, a tworząca się nad głową aureola wyglądała jak korona z najpiękniejszych brylantów i szlachetnych kamieni.

Blask jej przyćmił ciemność wydostającą się z ciała okrutnicy i spowodował, iż ciało czarta zaczęło się rozkruszać. Popiół upadający na glebę dotykał jej wraz z wrzaskami wydobywającymi się z ciała. Dało się go usłyszeć do momentu, w którym to ostatni płatek organizmu nie upadł na ziemię.

- Czyż nie wspominałam, że cię obronię? – zapytała.

- Dziękuję ci - odrzekł wdzięcznie.

- Halo...halo...proszę Pana? - mówił coś niewyraźny głos.

- Witam, Panie...yyyy... Leonie Kruszyński, wreszcie się pan obudził - mówiła dalej pielęgniarka, zerkając w jakieś dokumenty.

- O co chodzi? Gdzie ja jestem? - chrząkał Leon.

- Och, był pan w śpiączce przez 3 miesiące, jest pan w szpitalu, pamięta coś pan?

- Przepraszam...co? To był tylko sen...- kontynuował.

- Teraz to ja nie rozumiem...- zawahała się ze zdziwieniem siostra szpitalna.

KONIEC



III NAGRODA – ADAM NEJME ***Francja, Paryż 17.XI.1831***

Właśnie przybyłem do wcześniej nieznanego mi kraju. Nowe miejsce, nowi ludzie i ja – sam ze swoimi myślami. Nie dotykałem Cię, drogi pamiętniku, cały rok. Jestem wdzięczny losowi, że w ogóle udało mi się Ciebie zachować. Wydarzenia, w których brałem udział przez ostatnie miesiące, zmieniły moje życie bezpowrotnie ...

Wiedziałem dużo wcześniej, że wybuch powstania jest nieunikniony, w końcu sytuacja polityczna w Królestwie Polskim pogarszała się z dnia na dzień. Główną przyczyną nadchodzącego powstania było nieprzestrzeganie przez Imperium Rosyjskie postanowień konstytucji Królestwa Polskiego z 1815 roku. Od pewnego czasu należałem już do tajnego sprzysiężenia pod dowództwem podporucznika Piotra Wysockiego, zamierzaliśmy opanować stolicę a władzę oddać w ręce polityków cieszących się społecznym zaufaniem. Rosło w nas napięcie. Podniecaliśmy się wydarzeniami toczącymi się w Europie, rewolucją we Francji oraz w Belgii.

W końcu nadszedł upragniony moment. Wybuch powstania wyznaczono na 29 listopada na godz. 18.00. Byłem gotowy umrzeć za kraj. Serce biło jak oszalałe, jednak nie miałem już odwrotu. Myśli kotłowały się w głowie. W chwilach największego stresu przywoływa-

łem obraz mojego rodzinnego miasta Turku, gdzie urodziłem się w 1802 lub 1804 roku. Wspominałem mojego cudownego ojca Jana Rupniewskiego oraz kochaną matkę Teklę z Bońkowskich Rupniewską. Sytuacja robiła się coraz bardziej napięta, a ja oczyma wyobraźni widziałem mojego młodszego brata Nikodema Rupniewskiego, Szkołę Wojewódzką w Kaliszu, do której uczęszczałem, a nawet Uniwersytet Warszawski. Przypominałem sobie dzień 22.XII.1825 roku, kiedy to rozpoczynałem naukę na Wydziale Nauk i Sztuk Pięknych. Boże! jakie życie w tym czasie było beztroskie – pomyślałem.

Do oczu napłynęły mi łzy...Duma przeplatała się ze strachem. Tego dnia byłem już innym człowiekiem. Ja, Roch Rupniewski, chciałem walczyć i zwyciężać, byłem porucznikiem 5 Pułku Ułanów, pragnąłem być bohaterem. Powstanie narodowe przeciwko Imperium Rosyjskiemu swoim zasięgiem miało objąć Królestwo Polskie, Litwę, Żmudź i Wołyń.

Od samego początku istnienia Sprzysiężenia Wysockiego wraz z Edwardem Rottermundem oraz Leonardem Rettelem mieliśmy zamysł ataku na wielkiego księcia Konstantego i właśnie w tym dniu była ku temu doskonała okazja. Naszej grupie spiskowców dowodzić mieli Ludwik Nabelak oraz Seweryn Goszczyński. Zdecydowaliśmy, iż szturm na Belweder odbędzie się porą wieczorną. O godzinie 19.00 29 listopada 1830 roku zebraliśmy się pod pomnikiem króla Sobieskiego

na Agrykoli. Nigdy nie czułem takiej ekscytacji. Ruszyliśmy przez park Łazienkowski w kierunku pałacu. Nie było nas wielu. Najwyraźniej, część z nas, nie widząc umówionego sygnału do rozpoczęcia walki, jakim było podpalenie browaru na Solcu, nie stawiała się na czas. Wsparcie otrzymaliśmy ze strony robotników i rzemieślników. A gdzie była reszta społeczeństwa? Burżuazja? Mieszczanstwo?

Szturm na pałac wielkiego księcia Konstantego rozpoczął się o godzinie 19.15. Jako jeden z wielu z bijącym sercem wdarłem się do pałacu, biegaliśmy po korytarzach i komnatach książęcych. Rozległy się strzały. Jednak wielki książę zdołał się ukryć, a w naszą akcję wdarł się chaos spowodowany nadchodzącą odsieczą. Musieliśmy wycofać się do punktu wyjścia. Z naszych rąk zginęło sześciu przeciwnych powstaniu generałów. Teraz, po fakcie, wiem, że byliśmy zbyt słabo przygotowani. Nasza akcja nie mogła się udać. Moje serce przepełniał żal i smutek.

Jednak noc listopadowa nadal trwała i tak naprawdę dopiero w tym momencie przekształcała się w powstanie. Powstanie, na które my – Polacy i patrioci czekaliśmy tak długo. Momentem zwrotnym Nocy Listopadowej okazało się zdobycie Arsenału. Następnie opatowano tereny Starego Miasta, Powiśla oraz Pragi.

Około ósmej rano w naszych rękach znajdowała się prawie cała Warszawa. Kolejne dziesięć miesięcy sto czterdzieści tysięcy ludzi walczyło z największą potęgą militarną Europy.

Byłem szczęśliwy, że biorę udział w budowaniu historii. W kolejnych tygodniach uczestniczyłem w wielu bitwach, widziałem szczęście na twarzy zwycięzców, poznałem smak porażki, moje emocje szybowały od radości po niepoohamowany płacz. Nigdy nie myślałem, że zabicie drugiego człowieka będę odbierał jako sukces. Ale w tym momencie tak właśnie było.

Wśród poległych znaleźli się generałowie, którzy odmówili udziału w naszym zrywie powstańczym. Pamiętam twarz Stanisława Trębickiego, Stanisława Potockiego czy Józefa Nowickiego.

Jednak to bitwa o Olszynkę Grochowską zapisała się w mojej pamięci najwyraziściej. Pamiętam doskonale, że był to 25 lutego. W moim odczuciu była to najkrwawsza bitwa powstania listopadowego. Toczyła się niemal w tym samym czasie co bitwa pod Białoleką. Wojskami polskimi dowodził oficjalnie Michał Radziwiłł, faktyczne dowodzenie przejął jednak Józef Chłopicki. Pamiętam, kiedy ujrzałem ich przed bitwą po raz pierwszy. Książę Michał Radziwiłł wyglądał niezmiernie dostojnie. Miał pociągłą twarz, lekko kręcone włosy a w jego oczach zauważyłem błysk i chęć do walki.

Generał Józef Chłopicki natomiast budził respekt, idealnie pasował na dowódcę wojsk pierwszej linii. Niemal w jednej chwili zdobył moje zaufanie. Widząc ich obu, byłem pewien, że poprowadzą bitwę w dobrym kierunku. Okazało się, że jest nas mniej o dwadzieścia tysięcy niż wojsk rosyjskich, ale nawet przez sekundę nie straciliśmy nadziei na zwycięstwo. Dowódcą wojsk rosyjskich został Iwan Dybicz. 25 lutego usadowiliśmy się zgodnie z planem. Druga i Trzecia Dywizja Piechoty obsadzała centrum, prawe skrzydło zabezpieczała Czwarta Dywizja, a lewe skrzydło należało do Pierwszej Dywizji. Generała Dybicza wystraszył nasz szczelny układ i podjął decyzję frontalnego ataku na Olszówkę. Około godziny 10.00 natarli na Olszówkę. Jednak tym razem byliśmy genialnie przygotowani. Dywizje generałów Żymirskiego i Skrzyneckiego fantastycznie odparły atak.

W zasadzie, Drogi Pamiętniku, sam nie wiem dlaczego chce wracać pamięcią do tych momentów. Stres i adrenalina nie pozwalają mi do dziś myśleć normalnie. Jednak boję się, że nie będę miał okazji opowiedzieć szczegółów, że zapomnę, że wyprę z pamięci, że tutaj, na obczyźnie nikt tego nie zrozumie... Więc może jeszcze napiszę kilka słów, może ktoś to kiedyś z zainteresowaniem przeczyta? Może napotkasz, Drogi Pamiętniku, młodego człowieka, który z Twoich stroniec nauczy się historii? Mnie, zapewne, już wtedy nie będzie obok...

Po odpartym ataku nie cieszyliśmy się zbyt długo. Wobec osiemnastu batalionów rosyjskich byliśmy bezradni i musieliśmy się wycofać. Na szczęście zjawił się generał Józef Chłopicki. Witaliśmy go owacjami. Wraz z jego pojawieniem się wstąpiła w nas jakaś niespodziewana siła i chęć do walki. Od godziny 11.00 rozpoczęły się zacięte walki. Dwanaście tysięcy Rosjan ruszyło do ataku. Słyszałem krzyk i jęki umierających. Strach o życie robił się ciężki do zniesienia, jednak niepokorna dusza powstańca krzyczała „do boju”.

W dziewięć batalionów pod dowództwem Chłopickiego wdarliśmy się do Olszynki i wyparliśmy Rosjan. Byłem taki dumny, że dwukrotnie mniejsze oddziały moich braci powodują, iż dwudziesto tysięczna armia Rosjan zaczyna się wycofywać. Niestety w tym momencie nastąpiło najgorsze. Feldmarszałek Dybicz uruchomił dwieście dział. Usłyszałem huk, później już tylko cisza. Rozejrzałem się wokół, wszędzie leżały ciała zabitych. Ilość rannych, błagających o pomoc przeszła moje najgorsze sny.

Ten widok zostanie ze mną do końca życia. Zawahałem się... Przyszła mi na myśl nawet ucieczka. Jednak to była tylko chwila słabości. Ocknąłem się kiedy zobaczyłem, że Chłopicki przygotowuje kolejne natarcie. Tym razem postawił na kawalerię. Jednak nastąpiło jakieś nieporozumienie pomiędzy korpusem Łubieńskiego oraz grupa Krukowieckiego, a generałem Chłopickim.

Do dziś nie wiem na czym polegał problem, ale na własne oczy widziałem do czego doprowadziła ta chwila rozłamu wśród naszych. Chłopicki został ranny. Uważałem go za filar tej bitwy, więc w tamtym momencie nie widziałem szans na jej kontynuację. Jego serce do walki było jednak tak ogromne, że nawet znoszony z pola bitwy zarządził Skrzyneckiemu zaryzykować i zaatakować Olszynkę całymi siłami zbrojnymi. W tym momencie był moim bohaterem. Jednak nie każdy mógł się szczycić taką odwagą. Skrzynecki postanowił sprzeciwić się rozkazowi i wydał rozkaz odwrotu do Warszawy. Byłem zły... byłem żądny krwi ... byłem ponad moimi strachami. Dybicz wykorzystał sytuację puszczając w kierunku naszych zrezygnowanych powstańców dziesięć tysięcy żołnierzy wraz z pułkiem kirasjerów księcia Alberta. Kiedy ich zobaczyłem sądziłem, że grozi nam zupełny pogrom.

W tym momencie miałem znów chwilę zawahania. Przez ułamki sekundy pomyślałem, że chciałbym być małym dzieckiem, bezpiecznym w ramionach mamy, oczekującym na szklanekę ciepłego mleka za stołem pokrytym białym obrusem. Że chciałbym być znów w Turku lub Kaliszu. I nagle usłyszałem :

- Do boju!

- Do ataku!

- W imię ojczyzny!

- Wolność!

Hasło ojczyzna zawsze działało na mnie motywująco. Ruszyliśmy. Formacja rosyjskiej kawalerii została rozbita i niczym tchórze szybko wycofali się za Olszynkę. Dybicz zarządził odwrót wojsk rosyjskich spod Warszawy. Odetchnąłem z ulgą. Przeżyłem. Jednak te obrazy zostaną już ze mną każdej nocy. Kiedy zamykam oczy widzę sześć tysięcy osiemset żołnierzy polskich, dziewięć tysięcy czterysta żołnierzy rosyjskich, którzy polegli w tej bitwie. Słyszę jęk konających. Czuję zapach wszechobecnej śmierci. Wyobrażam sobie rozpacz matek, żon, dzieci. Targają mną wątpliwości.

Okazaliśmy się bohaterami, uniemożliwiliśmy wojskom rosyjskim szturm Warszawy. Mam pewne przemyślenia na temat tej bitwy. Myślę, że gdybyśmy wszyscy zgodnie uznali zwierzchnictwo Chłopickiego, gdyby każdy uwierzył w niego, tak jak zrobiłem to ja. Tej bitwy nie przegraliśmy, ale również nie była pewnym zwycięstwem.

W czerwcu Car Mikołaj I wysłał do Polski doświadczonego feldmarszałka Iwana Paskiewicza. Posunięcie to okazało się początkiem naszego końca. Miał on swoją taktykę, której kompletnie się nie spodziewaliśmy. Paskiewicz skierował się w dół Wisły.

Cóż to było za zaskoczenie! Pod Warszawą znalazło się osiemdziesiąt sześć tysięcy rosyjskich żołnierzy. Rosjanie rozpoczęli wielki szturm Warszawy i po paru dniach było już po wszystkim.

Dzisiaj, Drogi Pamiętniku wspominam ostatnie wydarzenia. Ze szczególnym sentymentem myślę o bitwach zakończonych sukcesem. Moje wzruszenie powoduje myśl o bitwie pod Stoczkiem, pod Wawrem czy też pod Iganiami. Jestem już bezpieczny, ale w obcym państwie. Po upadku powstania listopadowego nasze akcje stały się przedmiotem śledztwa Najwyższego Sądu Kryminalnego. Właśnie otrzymałem zaocznie wyrok śmierci przez powieszenie, który zaraz zamieni się w dożywotnią banicję. Cały mój majątek uległ konfiskacie. Czuję jednak dumę. Jestem spełnionym mężczyzną, obywatelem, żołnierzem, człowiekiem. Mogę się nazwać powstańcem listopadowym, belwederczykiem, działaczem.

Mimo, że życie przywiało mnie na obcą ziemię. Jestem sam, ale nie samotny. Mam plan działania a w sercu miłość do ojczyzny. W dniu dzisiejszym wstąpiłem do Komitetu Narodowego Polskiego oraz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Moja walka trwa...

WYRÓŻNIENIE – JULIA WITCZAK **W kawiarni z Tomiłą Składkowską**

Historia, którą dzisiaj wam opowiem, zdarzyła się pewnego sobotniego popołudnia. Przechadzałam się ulicami Turku. Słońce górowało nad miastem na tle niebieskiego sklepienia, oświetlając swoimi promieniami wszystko dookoła. Skąpane w złotym blasku miasto wydawało się piękniejsze niż kiedykolwiek. Wreszcie dotarłam do swojego celu - niewielkiej, lokalnej kawiarenki na rogu ulicy Kolskiej. Przekraczając jej próg, nie miałam pojęcia, że to właśnie tutaj przeżyję najdziwniejszą, ale zarazem najciekawszą przygodę swojego życia.

Od samego wejścia powitał mnie znajomy zapach kawy oraz ciepły uśmiech kelnerki stojącej za ladą.

- Co sobie dziś pani życzy? - zapytała pracownica kawiarni.

- To co zwykle - odpowiedziałam, a ona kiwnęła głową i zabrała się do przygotowywania mojego zamówienia.

Nie było konieczności, abym mówiła konkretnie, co chcę zamówić, ponieważ niezmiennie od trzech lat moich wizyt w tym miejscu, kupowałam zawsze to samo. A dokładniej mówiąc małe latte macchiato oraz kawałek czekoladowego brownie. Podeszłam do najbliższego sto-

lika, aby w spokoju poczekać na swoje zamówienie. Jednak ten spokój nie trwał zbyt długo. Nagle moją uwagę przykuła kobieta siedząca dwa stoliki dalej. Była młoda. Na moje oko nie miała więcej niż 30 lat. Miała duże, jasne oczy i prosty nos. Włosy miała upięte do tyłu w elegancki koczek. Fryzura ta jeszcze bardziej uwydatniała jej i tak już wysokie czoło. Ubrana była w czarną bluzkę z białym, wymiętym kołnierzykiem, a na głowie miała dostojny kapelusz z ogromnym piórem. Całości jej wyglądu dopełniał tajemniczy uśmiech błakający się po jej twarzy.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że gdzieś już ją widziałam, choć wydawało mi się to niemożliwe. Po chwili zwróciła swoją twarz w moim kierunku. Było w niej coś tak intrygującego, że sama nie wiem skąd wzięła się we mnie taka odwaga, ale wstałam ze swojego miejsca i ruszyłam ku niej. Kiedy stanęłam przy jej stoliku nie wiedziałam, co mam zrobić ani w jakim celu tutaj podeszłam. Przez kilka sekund nie wykrztusiłam z siebie żadnego słowa tylko wpatrywałam się w kobietę siedzącą przede mną.

-Eee... Czy mogę się przysiąść?- wydukałam z trudem.

- Oczywiście, proszę siadać.- odpowiedziała nieznajoma, wskazując mi krzesło naprzeciwko siebie.

Delikatnie zakłopotana zajęłam podane przez nią miejsce. Cała odwaga jaka zgromadziła się we mnie w momencie, kiedy ujrzałam tę kobietę, uleciała ze mnie niczym para.

Z zewnątrz starałam się zachować pozory całkiem opanowanej i wyciszzonej osoby, ale w środku cała dygotałam. Ręce mi się trzęsły, a nogi miałam jak z waty. Ze stresu mój żołądek chyba właśnie zrobił potrójne salto. W głowie miałam mętlik i nie wiedziałam, co zrobić. Wreszcie zebrałam w sobie tyle odwagi, aby wypowiedzieć kilka słów.

- Więc... Chciałabym bardzo panią przeprosić za to niespodziewane najście. Sama nie wiem, co we mnie wstało. Zazwyczaj nie jestem tak porywcza i impulsywna - zaczęłam się tłumaczyć.

- Ależ nie masz za co przepraszać - rzekła kobieta. - Choć nie ukrywam, że jestem ciekawa, co cię do mnie sprowadza.

- Tak naprawdę to nie mam pojęcia - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Po prostu kiedy panią zobaczyłam poczułam, że gdzieś już panią widziałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć gdzie.

- Ach tak, to bardzo możliwe. Jestem Tomiła Składkowska - kobieta przedstawiła się, przybierając ten sam wy-

raz twarzy, który mnie tu przyciągnął.

Tomia Składkowska. Byłam pewna, że gdzieś już to słyszałam. Gdzie? Tego nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

- Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o sobie coś więcej?-
spytałam.

- Z wielką chęcią - odrzekła Tomia. - Zaczniemy więc od samego początku, a konkretnie od momentu moich narodzin. Przyszłam na świat 3 kwietnia 1888 roku w Sannikach jako jedna z pięciorga rodzeństwa. Moi rodzice to Wincent Rafał Składkowski oraz Anna z domu Wójcicka. Większości mojego rodzeństwa możesz nie kojarzyć, ale na pewno obiło ci się o uszy imię mojego brata - Felicjana Sławoja Składkowskiego. Był on człowiekiem szczególnie zasłużonym dla kraju, ponieważ pełnił funkcję premiera II RP. No dobrze, ale wracając do mnie. Naukę rozpocząłam w wieku siedmiu lat w kieleckim gimnazjum, które ukończyłam z wyróżnieniem. - opowiadała Tomia z iskierkami w oczach. - Kolejne szlify w mojej edukacji zdobywałam na wydziale filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia, podobnie jak gimnazjum, ukończyłam z wyróżnieniem, gdyż otrzymałam złoty medal.

- Rodzice musieli być z pani niezmiernie dumni - powiedziała nieśmiało, nie chcąc zbytnio przeszkadzać

jej w opowieści.

- Och tak, byli. I to bardzo - na wspomnienie o rodzicach Tomile zaszkliły się oczy.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy. Akurat, gdy miałam zapytać czy to koniec historii, kobieta zaczęła mówić dalej.

- Zaraz po studiach rozpoczęłam pracę nauczycielki w Sosnowcu. Właśnie tam prowadziłam działalność oświatową wśród robotników Zagłębia Dąbrowskiego. W 1912 roku powróciłam do Turku. Dlaczego? Dobre pytanie. Może powodem było to, że mieszkali tu moi rodzice, a może było to zupełnie coś innego. Po prostu od zawsze czułam się związana z tym miejscem. Czasem mniej, a czasem bardziej. Jednak cały czas Turek był w moim sercu. I właśnie tutaj, jeszcze w tym samym roku, powołałam do życia szkołę dla dziewczynek takich jak ty - Tomiła złapała mnie delikatnie za ramię i na jej twarzy zagościł szczerzy uśmiech.

- „Żeńska Szkoła Handlowa” – właśnie taką nazwę nosiła, a ja objęłam stanowisko dyrektora tej szkoły. Pamiętam, jak bardzo byłam podekscytowana, kiedy miało nastąpić oficjalne otwarcie. Byłam pełna obaw, czy sprostim tak odpowiedzialnemu zadaniu, jak zarządzanie szkołą oraz kształcenie młodych ludzi. Szybko się okazało, że moje obawy były zupełnie niepotrzebne. Świet-

nie czułam się w swojej roli i czerpałam z tego niezwykłą przyjemność. Z początku szkoła mieściła się w wynajętej od Reinholda Szeffela trzypokojowej, parterowej oficynie przy ulicy Pólko nr 279A. Jeśli jestem dobrze zorientowana obecnie jest to ulica Żeromskiego 14. W tamtych czasach funkcjonowały zaledwie trzy klasy, a dokładniej mówiąc: wstępna, pierwsza i druga. Po pewnym czasie wynajęliśmy jeszcze dwa pomieszczenia od Szalmy Lewińskiego, a ostatecznie w 1916 roku zdecydowaliśmy się na przeniesienie wszystkich czterech klas do tego budynku. W późniejszych czasach działalności szkoły spędzałam sporo czasu na podliczaniu wydatków, których było dosyć sporo. Często okazywało się, że niektóre z uboższych uczennic zalegają z płatnością. W takich sytuacjach byłam rozdarta, ponieważ nie mogłam mieć braków w pobieranych opłatach, a z drugiej strony musiałabym być bez serca, aby wydać te biedne dziewczynki ze szkoły. Po długich bitwach z własnymi myślami sama pokrywałam wszystkie koszty. Może nie powinnam tego robić, ale co się stało, to się nie odstanie. Wreszcie moje czyny wpłynęły na pogorszenie sytuacji szkoły, a następnie do jej przejęcia przez spółkę oraz przekształcenia w sześcioklasowe Gimnazjum Żeńskie. W nowo powstałej placówce otrzymałam posadę nauczycielki. Odpowiadało mi to, bo dzielenie się swoją wiedzą to coś co zawsze chciałam robić, więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Byłam tak pochłonięta całą historią, że zapomniałam o bożym świecie. Nawet nie zauważyłam, kiedy kelnerka postawiła na stoliku tuż obok mojej dłoni wcześniej zamówioną kawę. Dostrzegłam to dopiero, gdy napój w niewielkiej filiżance stał się całkowicie zimny. Jednak stwierdziłam, że nie jest to odpowiedni moment na zamartwianie się wystygłą kawą, ponieważ Tomiła opowiadała dalej tę niezwykłą historię, jaką było jej życie.

- Rok 1918 jest dla mnie wyjątkowy, ponieważ wtedy wyszłam za mąż za Zygmunta Kozłowskiego - mówiła moja towarzyszka z wyraźnym zapałem.

- Był on kierownikiem Szkoły Powszechnej nr 2 w Turku. Zygmunt był wspaniałym człowiekiem, a jeszcze wspanialszym ojcem dla naszego syna Radosława. Wtedy też zaczęłam organizować liczne spotkania, odczyty i kursy pedagogiczne. Zamieszczałam również artykuły w lokalnej prasie, organizowałam przedstawienia teatralne na rzecz Towarzystwa Pomocy Żołnierzowi Polskiemu oraz zajmowałam się pracą charytatywną w mieście - na te wspomnienia twarz Tomiły promieniała dumą, ale po chwili pojawił się na niej smutek.

- Bardzo kochałam moją rodzinę - jej głos zaczął się załamywać. - Jednak w 1920 roku musiałam się z nią rozstać. Pozostawiłam mojego małego synka wraz z mężem w domu. Chciałam, aby byli bezpieczni,

ajasma wstąpiłam ochotniczo do Legionów. Tak naprawdę nie musiałam zostawiać osób, które kochałam bardziej niż cokolwiek innego na świecie. To była tylko moja decyzja. Gdybym tego nie chciała, nikt by mnie nie zmusił, jednak problemem była moja dusza. Zostałam wychowana w rodzinie, w której ojczyzna była równie ważna co rodzina, więc kiedy dowiedziałam się, że mojej ojczyźnie może coś zagrażać, nie mogłam siedzieć bezczynnie. Gdybym tak zrobiła, zamęczyłyby mnie wyrzuty sumienia. Z racji tego, że nie mogłam trafić na front, zostałam sanitariuszką. Niesienie pomocy chorym lub rannym żołnierzom było dla mnie priorytetem. Opiekowałam się nimi tak ofiarnie, jak potrafiłam. Krążyłam po szpitalu polowym pośród cichych jęków rannych. Pragnęłam ująć im bólu, a tym, którzy nabierali powietrze w płuca po raz ostatni, spełnić ich ostatnie prośby, a przede wszystkim zapewnić spokojną śmierć. Wykonywałam swoją pracę z ogromnym oddaniem. Nie zważałam na zagrożenie, jakim było zarażenie się chorobą, a przynajmniej nie zważałam do momentu, kiedy to się stało. Zaraziłam się tyfusem. Ta paskudna choroba, która atakowała naszych żołnierzy, dopadła również mnie. Dzień przed śmiercią czułam się okropnie. Byłam wyczerpana i ledwie przytomna. Jedyne co utkwіło mi w pamięci to moment, kiedy trzymałam w dłoni zdjęcie mojej rodziny. Wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi. Mój syn, mój mąż i ja. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że już nigdy więcej ich nie zobaczę. I może to nawet lepiej, bo ta informacja złamałaby moje i tak już słabe serce. W dniu

mojej śmierci, czyli dokładnie 20 października 1920 roku byłam jeszcze bardziej osłabiona niż dzień wcześniej. Serce łomotało mi w piersi, objając się o żebra. Nagle ujrzałam dwie postacie stojące przy moim łóżku. Nie mogłam albo nie chciałam wierzyć własnym oczom. To byli moi rodzice. Widziałam ich bardzo wyraźnie, a przecież było to niemożliwe, żeby byli tutaj ze mną. Tatuś w dostojnym mundurze, a mamusia w pięknej sukni. Byli ze mnie niezwykle dumni. Widziałam to w ich oczach. W końcu to właśnie oni nauczyli mnie takiej miłości do ojczyzny. Nagle obok nich pojawiły się kolejne dwie osoby. Zygmunt i Radziu. Tak się cieszyłam, że przyszedli tutaj, aby mnie odwiedzić, jednak nie mogłam powiedzieć tego samego o nich. Byli smutni, zrozpaczeni. Ale dlaczego? Przecież widzimy się po tak długiej rozłące. „Kocham Was” – chcę powiedzieć, chcę to wykrzyknąć na cały głos, ale nie mogę. Czuję okropny ból przeszywający moją klatkę piersiową. Rozdziera mnie on od środka, a ja nie wiem, co się ze mną dzieje. Po tyłu męczarniach wszelki ból jaki kiedykolwiek czułam, ustaje, a wraz z nim ustaje bicie mojego serca. Ostatnie co słyszę to głos jednej z sanitariuszek. Jest mi tak bliski, a jednocześnie tak odległy. „Odeszła” - mówi. - po tych słowach Tomiła milknie, a ja rozumiem, że to już koniec opowieści.

Dopiero po kilku, a może kilkunastu minutach dociera do mnie to, co właśnie usłyszałam. Kobieta siedząca naprzeciwko mnie przed chwilą opowiedziała mi swoje całe życie. Od narodzin, aż do samej śmierci.

No właśnie. Do samej śmierci. Śmierć sprawia, że ludzie odchodzą bezpowrotnie. Nie możemy z nimi porozmawiać ani się spotkać, a ja właśnie to robię. Siedzę w małej kawiarni przy stoliku z kobietą, która odeszła z tego świata ponad 100 lat temu. A może wcale nie odeszła? Sama już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Czuję, jak narasta we mnie panika. Muszę się uspokoić.

- Przepraszam panią na chwilę. Muszę skorzystać z łazienki - mówię drżącym głosem, choć staram się, by zabrzmiał spokojnie.

Tomiała tylko skinęła głową na znak, że rozumie. Przez chwilę jeszcze się wahałam, ale w końcu odeszłam od stolika i skierowałam się we wcześniej wspomniane miejsce. Po 5 minutach udało mi się w pewnym stopniu opanować burzę myśli, która rozgrywała się w mojej głowie. Podeszłam do miejsca, w którym jeszcze chwilę temu siedziałam razem z Tomią. Ku mojemu zdziwieniu zastałam tak jedynie puste krzesło i filiżankę pełną zimnej kawy.

- Przepraszam - zwróciłam się do kelnerki. - Może wie pani, gdzie poszła kobieta, która siedziała przy tym stoliku? - zapytałam.

- Przykro mi, ale tutaj nie siedziała żadna kobieta - powiedziała zdziwiona kelnerka i ruszyła w kierunku nowych klientów.

Cały świat wirował mi przed oczami, a ja razem z nim. Poczułam się, jakby w jednym momencie grawitacja przestała obowiązywać. Przecież nie mogłam sobie tego wymyślić. To wszystko było tak bardzo realne, prawdziwe. Byłam niezwykle zdezorientowana. Sama nie wiem, jak trafiłam do własnego domu. Tak naprawdę nie pamiętam niczego, co miało miejsce po wyjściu z kawiarni. Od tamtego wydarzenia minęły już tygodnie, a ja nadal nikomu o tym nie powiedziałam. To nie tak, że nie chciałam tego powiedzieć. Ja po prostu nie mogłam. Za każdym razem, gdy próbowałam opowiedzieć komuś o tym, co mnie spotkało, na moim gardle zaciśkała się stalowa dłoń, która uniemożliwiała mi wydanie z siebie jakiegokolwiek dźwięku. W końcu zrozumiałam, że ktoś albo coś chciało, żebym zatrzymała tę historię tylko dla siebie. Najwyraźniej była to jedyna słuszna opcja.

WYRÓŻNIENIE – KATARZYNA ROSIAK

Oddanie wobec kraju

Pamiętam, że około południa obiegła mnie informacja o zbliżającej się w kierunku północno wschodnim dużej kawalerii sowieckiej. Była to zapowiedź zbliżającej się bitwy niosącej ze sobą tragedię. Po upływie paru chwil otrzymałem meldunek od dowódcy IV brygady - Mieczysława Makarego Smorawińskiego. Zdenerwowanym głosem oznajmił:

- Stanowiska mojej brygady zostały zaatakowane. Odpowiedzialność za ten czyn ponosi duża kawaleria bolszewicka licząca dwie dywizje. Atak przeprowadzony został w konnym szyku, zwartymi kolumnami. Teraz armia bolszewicka jest blisko miejsca mojego postoju...

W tym momencie rozmowa się urwała. Usłyszałem przez słuchawkę trzask strzałów wydobywających się z karabinów. Groza zawitała. Zaniepokojony poczułem przeszywający moje ciało chłód.

Po chwili wpadł do mojego gabinetu porucznik Banaś i podniesionym głosem poinformował:

- Przywieziono rannego pułkownika Smorawińskiego! Jego brygada została całkowicie rozbita.

Od razu wybiegłem na dwór, gdzie Smorawiński leżał w chłopskiej furmance, zaprzężonej w jednego konika. Leżący na sianie pułkownik obandażowaną miał całą głowę oraz prawą rękę. Opatrunek przesiąkł krwią rannego. Poszkodowany, choć blady mimo licznych obrażeń uśmiechnął się gdy dostrzegł moją osobę.

- Naszli nas z zaskoczenia! Nasza kapitulacja była nieunikniona. Przegraliśmy z kretesem. Walczyliśmy, stawialiśmy opór, niestety zakończyło się naszą porażką. Straciłem kontakt z dowódcami pułków. Z tego co mi wiadomo, udało się uratować artylerię. Za to kawaleria Budionnego skierowała się na Hrubieszów lub Chełm. Trzeba zebrać pozostałych żołnierzy. Straty są poważne, co można wnioskować po moim stanie.

Jak można było się spodziewać pierwsze co zrobiłem to wziąłem samochód i pojechałem odstawić Smorawińskiego do szpitala, najbliższy znajdował się w Krasnymstawie.

Kolejnego dnia ja wraz z pułkownikiem Żymierskim udaliśmy się na pole bitwy, które przeraziło swoim wyglądem. Nie udało się wykonać polecenia Piłsudskiego, czyli powstrzymać bolszewickiej armii, aby nie dostała się za rzekę Bug.

Była to ostatnia bohaterska walka Smorawińskiego w wojnie polsko-sowieckiej. Leczenie przeciągło się w czasie, przebywał w dwóch szpitalach, a następnie był na urlopie zdrowotnym. Po upływie jednak paru lat powrócił do IV brygady. Nie udało się także odnaleźć żadnych dokumentów w których pułkownik miał krytycznie komentować dane wydarzenia. Świadczyło to o jego klasie jako żołnierz, a także jako człowiek. Jego odwaga i poświęcenie wobec kraju powinno inspirować następne pokolenia do postępowania w sposób tak szlachetny i godny pochwały.

WYRÓŻNIENIE – MARTA CIEŚLAK

Wielkie marzenia w małym mieście

Pogoda nie sprzyjała spacerom, a jednak on lubił chodzić i zachwycać się pięknem miasta Turek, w którym żyje. Tak wiele chciałby tu jeszcze uczynić... Tymczasem jest zatrudniony jako lekarz weterynarii i to zajęcie bardzo go absorbuje. Niesienie pomocy zwierzętom to bardzo odpowiedzialna praca dająca mu dużo radości.

Leon Kruszyński spacerowym krokiem przemierzał ulice i rozmyślał. Kochał to miasto. Interesowało go wszystko - rozwijający się przemysł tkacki, sport, kultura i oświata, nad rozwojem której bardzo ubolewał. Kiedy tu zamieszkał, chciał wiele dobrego zrobić dla miasta i mieszkańców. Czuł się obywatelem Turku, mimo że pochodził z Łowicza. Niewątpliwie wówczas w mieście brakowało szkoły średniej. Przyczyniło się to do niskiego poziomu edukacji lokalnej i małej ilości mieszkańców posiadających wykształcenie. Teraz to się powoli zmienia. Myśl o stworzeniu progimnazjum zaczyna przeobrażać się w czyn. Nie jest łatwo, brak pieniędzy, bieda, ale ludzie chętni do pracy, a w zespole dużo można osiągnąć. On o tym wiedział.

Przechodzień przystanął przy objazdowym teatrze. Nie lubił tego rodzaju rozrywki - bezmyślnej i dla mało wymagającego odbiorcy. W grupie gapiów do-

strzegł też swojego syna Tadeusza.

- Co ich tak fascynuje? – pomyślał. - Skacząca biedna małpka? Popis gimnastyczny?

Stał tak jeszcze przez chwilę i przyglądał się widowisku. Po chwili szedł już dalej wybrukowaną ulicą, a myśli jego krążyły wokół tego, co przed chwila zobaczył. Obudziła się w nim chęć stworzenia czegoś nowego.

- Nie może tak być - pomyślał. - Sam niczego nie osiągnę, ale w zespole się uda! Stworzę prawdziwy teatr!
- Na tę myśl uśmiechnął się spod czarnego wąsa, a jego krzaczaste groźnie wyglądające brwi jakby złagodniały.

Teraz przyspieszył kroku i zadowolony kroczył do domu, który mieścił się przy ul 3 Maja 19. To jego miejsce na ziemi. Niefunkcjonujący już szpital chole-ryczny zaadoptował na cele mieszkalne i gabinet weterynaryjny, tam znalazł ostoję. Jak pomyślał, tak uczynił.

-W Turku powstanie teatr - krzyknął od wejścia do żony Wiktorii. Nasz syn nie będzie oglądał durnych przedstawień pod stodołą. Pozna prawdziwą sztukę - mówił.

Żona zdziwiona i oszołomiona wtargnięciem męża przytaknęła tylko. Wiedziała, że jej kochany Leoś jest społecznikiem i co postanowi, to uczyni. Wspierała zawsze męża, a ten pomysł uznała za bardzo sensowny. Uśmiechnęła się i musnęła go w czoło.

- Więc działaj, kochanie! – szepnęła mu do ucha.

Zaczęły się działania, by móc zrealizować cel. Kruszyński zaczął szukać odpowiedniego pomieszczenia, w którym można by wystawiać sztuki. Pytał, błądził, spacerował po mieście, by czegoś wyszukać. Trafił do domu Tomasza Jaksiewicza, a ten dał zgodę na to, by tam utworzyć salkę teatralną. Przyszły teatr miał już miejsce, pierwszą lokalizację. Mała, skromna salka na początek musiała wystarczyć. Leon Lubomir Kruszyński był zadowolony. Miał już teatr. Teraz plan mógł nabrać już tempa. Miasto nieduże, poczta pantoflowa świetnie działająca, więc i chętne zdolne osoby szybko zapukały do drzwi teatru. Bohater był szczęśliwy i dumny.

Szybko okazało się, że jedna mała salka nie wystarczy na potrzeby społeczności. Od ulicy Kolskiej znajdowała się duża brama i za nią drzwi do dużej ubikacji. To miejsce za zgodą właściciela przerobiono na salkę ze sceną i liczącą 102 miejsca widownią. Wszystko zajęło trochę czasu. Było warto. Teatr rozwijał się, zyskiwał rozgłos i uznanie.

- Patrz, synu! - wołał, trzymając w ręce zmiętą gazetę. - Patrz! „Kaliszanin” o nas pisze i zamieścił nasz repertuar! Czyż to nie wspaniałe! Zobacz, piszą o „Miodowych miesiącach”, które w przyszłym miesiącu u nas na scenie!

- Wspaniale, Tatku! - odpowiedział Tadeusz. - Pokaż.
- Zobacz wspominają też sztuki, które już wystawialiśmy: „Consilium Facaltatis”, „Posażna Jedynaczka”, „Po kweście” Widzisz? - ciągnął dalej.
- Tak się cieszę! W końcu nasi mieszkańcy są aktorami! Nie muszą oglądać tych pseudo sztuk obieżyświatów! - powiedział Leon.
- Tato, Kocham Cię! Ty jesteś najwspanialszym aktorem! Rozwijaj swój teatr - dodał syn.
- Oj, tak się cieszę. Mamy osiągnięcia, sukcesy. Rozrastamy się. Jest już garderoba, dekoratornia i rekwizytornia, ba, nawet biblioteka. Tworzy się orkiestra amatorska! Czyż to nie cudowne!
- Oj tak, tato! Dziewięć lat działalności, a już 50 komedii wystawiliście. Chyba się nie mylę? - zapytał Tadek.
- Tak. Ponad pięćdziesiąt - dodał Leon Kruszyński.
- Spełniasz swoje marzenia, mój ty społeczniku - wtrąciła się do rozmowy żona. - Dajesz niezłą dawkę dobrej sztuki i edukujesz mieszkańców.
- Tato? Może czas pomyśleć o własnej gazecie? Wówczas sami moglibyśmy pisać o osiągnięciach naszych miesz-

kańców i o naszym mieście! - stwierdził syn.

- No i o naszej Straży Ogniowej, i o tkactwie ... i o futbolu, i szkole, którą tworzysz - wtrąciła małżonka.

- Może i macie rację. Progimnazjum to moje oczko w głowie. Trzeba o nim pisać i kształcić nasze dzieci.

Leon Lubomir zamyślił się chwilę. Już od jakiegoś bowiem czasu chodzi mu po głowie myśl, by Turek miał też lokalną prasę. Ale czy aby nie będzie ona towarem luksusowym? Kto ją będzie kupował, czy wydawanie nie będzie zbyt skomplikowane? Te myśli zaprzętały głowę bohatera. Nie chciał jednak zrezygnować. „Za jakiś czas będziemy wydawać gazetę lokalną” - pomyślał aktor amator i założyciel teatru Kruszyński i poszedł do swoich obowiązków.

Tak oto powiatowy lekarz weterynarii, pochodzący z bogatej rodziny mieszczańskiej, która posiadała fabrykę cygar, chce działać w małym mieście i ubogacić je pod różnymi względami.

Dni mijały bardzo szybko. Praca i służenie społeczeństwu absorbowały Kruszyńskiego całkowicie. Codzienne spacerunki i pogawędki z mieszkańcami dodawały mu siły i napełniały radością. Uwielbiał też opowiadać dzieciom o historii miasta, o turach, które tu niegdyś zamieszkiwały. Uczył szacunku i zaszczepiał w nich lokalny

patriotyzm. Umiał skupić uwagę słuchaczy. Często powtarzał:

- Pamiętajcie, tury wymarły, ale nasze miasto nie umrze, nie zginie. Ono ma w sobie potencjał! Głęboko w to wierzę.

Sam też dużo czerpał, znał potrzeby miasta, ludzi, był im bliski i oddany.

Kilka lat później faktycznie w domu, w którym mieścił się już gabinet weterynaryjny, powstała siedziba „Echa Tureckiego”. Leon Kruszyński uwielbiał pisać i tworzyć od zawsze. Teraz pisał nawet w nocy. Stał się swego rodzaju kronikarzem miasta. Notował, spisywał, obserwował i wyciągał wnioski, brał udział w uroczystościach, chciał przekazać fragment historii przyszłym pokoleniom. 15 marca 1924 roku udało się wydać pierwszy numer czasopisma, a on – Kruszyński został redaktorem naczelnym.

Noc była już głęboka, wszyscy w domu spali, a on kończył właśnie pisać kolejny artykuł do „Echa Tureckiego”. Nie chciał niczego pominąć, wszystko trzeba notować, by przekazać kolejnym pokoleniom namiastkę historii. Był już bardzo zmęczony, powieki opadały mu na oczy. Pora się kłaść. Rankiem trzeba pracować. Jest przecież umówiony. Obowiązki lekarza weterynarii czekają – trzeba wyleczyć konia sąsiadów. Potem musi

pójść do Straży Ogniowej i do Klubu sportowego Tur Turek. Tak, zawsze jest tam proszony, bo z jego inicjatywy powstały te organizacje. Jest przecież członkiem honorowym i prezesem straży. Oj, dzień będzie napięty. Pewnie i do Magistratu zajrzę – pomyślał. Lata lecą, sił już coraz mniej i zdrowie nie to, ale działać trzeba. Jestem to winny mieszkańcom, myślał w duchu.

Poczuł przeszywający ból w plecach, powieki kleiły się coraz bardziej. Położył się wreszcie na spoczynek, nakładając swoją ulubioną szlafmycę. Kolejny pracowity dzień dobiegł końca. Księżyc nieśmiało wkradał się przez okno, oświetlając delikatnie maszynę do pisania i fragment stołu. Społecznik Lubomir Leon Kruszyński pogrążył się w głębokim śnie, śniąc zapewne o rozwoju swojego ukochanego Turku.

WYRÓŻNIENIE – GABRIELA MARCINIAK

Poetycki spacer

W ubiegły piątek poszłam do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Turku. Tego dnia miałam wrażenie, że wydarzy się coś niezwykłego... Coś, co odmieni moje życie.

Spacerowałam między wysokimi, zakurzonymi regałami w poszukiwaniu inspiracji do opowiadania na konkurs dotyczący lokalnych bohaterów. Dookoła mnie unosił się zapach starych książek i...literatury. Uwielbiam przebywać w takiej atmosferze. Zaczęłam więc przeglądać tomiki wierszy, aż nagle na moje stopy spadł tomik wierszy Włodzimierza Pietrzaka.

Otworzyłam go i poczułam, jakby ktoś stał bardzo blisko mnie. Obejrzałam się i moim oczom ukazała się znajoma postać. Zestresowana spojrzałam na zdjęcie w książce, a następnie na tajemniczego mężczyznę. Wyglądali identycznie! Poczułam się, jakbym była we śnie. Nie dowierzałam temu, co się właśnie działo. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Na jego smukłym nosie tkwiły okrągłe okulary, zwane kiedyś binoklami. Łysawą głowę zdobił natomiast wysoki, ciemny kapelusz. Poeta był ubrany w schludny garnitur i staromodne trzewiki.

- Dzień dobry! - odezwał się ciepłym głosem Włodzimierz Pietrzak. - Który mamy rok?

- To się dzieje naprawdę?! - spytałam zaszokowana.
- Pewnie, że naprawdę! Który mamy rok? - powtórzył pytanie.
- 2022, dlaczego pan pyta?
- To już minęło tyle lat? Ostatni raz byłem w tej bibliotece w 1924 roku...
- Był pan w tej bibliotece?! Przecież ona nie istniała w tamtych czasach.
- Oczywiście, ale była inna w tym mieście! A kto tu nie był? - powiedział to tak, jakby odpowiedź na moje pytanie była wręcz oczywista.

Wyszliśmy z budynku. Dalej nie mogłam uwierzyć, że właśnie spotkałam poetę żyjącego przed II wojną światową! Nieco oszołomiona stwierdziłam, że oprowadzę pana Pietrzaka po współczesnym Turku. Chciałam dowiedzieć się o nim co nieco, zanim napiszę opowiadanie. Doszliśmy do kina.

- Od kiedy tak wygląda synagoga?
- Jaka synagoga?! - zapytałam. - Czy ja o czymś nie wiem?
- Oj, dziewczynko... Ty jeszcze wielu rzeczy nie wiesz...

Za moich czasów stała tu synagoga żydowska! Co się z nią stało?

- Ja nawet nie wiedziałam, że było tu coś takiego...

- Naprawdę? Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. - oznajmił - Och, gorąco się zrobiło. Chyba pójdę do łaźni miejskiej, aby trochę się odświeżyć i ochłodzić.

- JAKICH ŁAŻNI? - byłem w szoku, że tak niewiele wiem o historii Turku. - Chyba ich też już nie ma...

- Jak to nie ma? - odparł zdziwiony mężczyzna, przeszkując kieszenie garnituru. - Teraz, to już nic tu nie ma... To gdzie wy się kąpiecie?

- W domach, każdy ma swoją łazienkę - zaśmiała się.

- Mam pieniądze! - krzyknął tak szczęśliwy, jakby znalazł co najmniej tonę złota. - Może pójdziemy na lody?

- To są pieniądze sprzed wojny! Takimi już się nie płaci, teraz są takie! - pokazałam panu Włodzimierzowi dziesięciozłotowy banknot z mojej portmonetki.

- Chodźmy więc na przechadzkę - odparł rozczarowany.

Tak spędziliśmy kolejne dwie godziny. Pokazałam panu Pietrzakowi między innymi rynek, ratusz i kościół

Najświętszego Serca Pana Jezusa. Przez całą drogę poeta szedł zadziwiony tym, jak bardzo zmieniło się miasto jego dzieciństwa. Opowiadał mi wiele historii ze swego życia; o tym, jak napisał swoją pierwszą rymowaną, dzieciństwie spędzonym w naszym mieście, o udziale w powstaniu warszawskim i czasach okupacji. Podczas spaceru wyrecytował mi wiele swoich wierszy: „Południe”, „Plac Trzech Krzyży”, „Wiersz do Jana Kotta” oraz kilka, których nie rozpoznałam.

W pewnym momencie zapytałam ze śmiałością, o którą siebie nie podejrzewałam:

- Jak to się stało, że jest pan bohaterem naszego miasta?

- Bohaterem? Ja, bohaterem?

- Tak! To pan nie wie? Pana twórczość jest wciąż doceniana. Są organizowane konkursy recytatorskie pańskich wierszy. Było już 21 edycji Konkursu Twórczości Włodzimierza Pietrzaka „Całej ziemi jednym nie można objąć uściskiem”. Turkowianie są dumni z tego, że znany poeta tutaj mieszkał.

- Niesamowite... Nigdy nie spodziewałem się takiej sławy... Zmieńmy jednak temat, widzisz tę sosnę? Zarecytuję ci jeden z moich wierszy:

*Sosny jak panny o fioletowej wysmukłości nóg
nad niskozielonym dwurzędem młodych gajów.*

*Niechcąca pod górę toczy się droga,
wyżej – z lazurem nieb w zieloność rozstaje.
Popołudniem milknącym leże w brzęku świerszczy*

*i z ziemi podnoszę
pyłące się spalenizną słońca kłęby wrzosu.
Tak będzie: miękka, przez palce płynąca,
różowość, rozchodnice we mchach - i drzewa.*

*Spręży się ramię:
przybłąkała się dawno nie mówione słowo,
- cofnięty, przygasną w spokoju.
Całej ziemi jednym objąć nie można uściskiem.
Otwieram oczy: barwami się leje rozpusta cudu,
dobrze byłoby wtopić nogi i ręce
w glinę, na której stanął kościół las
Za słońcem odptywam powoli,
a tak mi to rośło drogie i bliskie.*

Tak spędziłyśmy kolejne pół godziny. On mówił wiersze, a ja słuchałam.

Niestety, w pewnym momencie, gdy wybiła 12:00, Włodzimierz Pietrzak nagle zniknął. Rozglądałam się dookoła, ale on rozplynął się niczym zjawą.

Ta historia nie tylko pokazała mi, jak wyglądało moje miasto, ale również przybliżyła jego przeszłość. Już zawsze, gdy będę wchodziła do Biblioteki Miejskiej w Turku im. Włodzimierza Pietrzaka, będę myślała o tym niezwykłym zdarzeniu. Nie mogę się doczekać, aż opowiem wszystko mojej rodzinie!





MARIA ŚMIGIELSKA

Zaginiony obraz

Józef miał udać się do Turku, tak jak polecił mu jego nauczyciel — Jan Matejko. Jego zadaniem było odbywanie swoich kolejnych lekcji malowania, a mianowicie rozkazano mu kontynuować praktykę przenoszenia krajobrazu na płótno. Ludzie na ulicy z reguły dość krytycznie podchodzili do prac Mehoffera. Mało kto dostrzegał jego ukryty talent. Jediną osobą, która to zauważyła, był właśnie Matejko.

Józef był jeszcze młodym, silnie zbudowanym mężczyzną. Zawsze elegancko i gustownie ubrany. Z reguły były to wszelakie wyszukane koszule, na które zakładał później jedną z jego wielu kamizelek w jakimkolwiek ciemnym odcieniu. Ubrania zazwyczaj zakrywał mu jego grafitowy, ulubiony surdut. Wykonany był z aksamitnego materiału. Nosił go zawsze, gdy malował swoje obrazy i przy innych ważniejszych dla niego okolicznościach.

Jednym z dziwnych nawyków Mehoffera było to, że malując cokolwiek farbami, musiał przysłonić czymś swoją uwielbioną część garderoby, by uniknąć jej zabrudzenia. Ten surdut to niezwykle istotna dla niego rzecz, ponieważ odziedziczył go po swoim ojcu, który wcześniej otrzymał go od jego dziadka. Był to więc początek pewnej tradycji, którą Mehoffer pragnął kontynuować

z pokolenia na pokolenie.

Nos przyozdabiały mu okulary o cienkich oprawkach i krągłych szklach. Jego czuprynę porastały włosy koloru rudego przypominające żarzące się płomienie. Oczy miały barwę, jakoby zostały stworzone na wzór błękitnego i bezchmurnego nieba, które przyozdabiało widok dzisiejszego popołudnia.

Uczeń Matejki, usłyszawszy polecenie swego nauczyciela, powrócił do swojego miejsca zamieszkania. Spakował starannie wszystkie potrzebne mu ubrania w starą, skórzaną walizkę, której rzadko kiedy używał. Do tej pory kurzyła mu się ona na drewnianej półce znajdującej się w jego przedsionku. Wcześniej do podróżowania używał innej torby, która również była wykonana z nietaniego tworzywa. Tego dnia natomiast postanowił spakować oddzielnie do tej torby swój surdut. Ten płaszcz był dla niego jego oczkiem w głowie i nie mógł pozwolić, aby został zakurzony.

Gotowy już Józef opuścił sień i zakluczył drzwi. Stawił się na dworcu kolejowym w Warszawie i czekał na przyjazd jego pociągu. Usiadł więc na drewnianej ławeczce w zaciszu z daleka od ludzi i dalej oczekiwał na rozpoczęcie jego trasy. Usłyszał nagle komunikat, że niestety pociąg się opóźni z przyczyn technicznych i planowany przyjazd przypuszcza się za około trzy i pół godziny. Znużony Mehoffer opuścił dworzec i wstąpił

do pobliskiego kiosku. Kupił tam egzemplarz jakiegoś najtańszego czasopisma, by umilić jakoś czas. Wrócił odpoczywać na ławce i wczytał się w gazetę. Zauważył tam nagłówek mówiący:

„Znany mecenas sztuki Zygmunt Pustowski poszukuje artystów wartych jego pomocy w odnalezieniu się w świecie twórczości”

Początkujący malarz, dostrzegając ten napis, zrezygnował z czekania na wyjazd i zawrócił do swojego domu. Uradowany tą szansą na swój rozwój przyspieszył krok i dalej kierował się do mieszkania. Wchodząc do środka, natychmiast rzucił swój bagaż i poszedł podzielić się tą wieścią z nauczycielem.

- Wreszcie Janie! Szybko przeczytaj ten nagłówek! To jest dla mnie szansa, nie mogę jej przegapić! - wykrzyczał podekscytowany Mehoffer, wręczając jego nauczycielowi gazetę.

Matejko czytał i czytał, a nagle wybuchnął śmiechem. Oburzony uczeń zrobił tylko skwaszoną minę i czekał na odpowiedź nauczyciela.

- Wybacz Józefie, ale nie wspomniałem dokładniej, dlaczego chciałbym, byś wybrał się do tego małego miasteczka zwanego Turkiem - wyjaśnił. - Chciałem więc, żebyś spotkał się właśnie z Zygmuntem, który jest moim

dobrym przyjacielem. Miało do tego dojść w Turku, podczas gdy miałbyś malować tamtejszy krajobraz w pobliżu tamtejszej rzeki Kielbaski, o której ci wielokrotnie mówiłem.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - spytał zdziwiony Józef, ale tamten mu nie odpowiedział.

Nazajutrz Mehoffer znów wrócił na dworzec. Wyjechał równo o godzinie dziesiątej już bez żadnych przeszkód w przeciwieństwie do dnia poprzedniego.

W kabinie naprzeciw niego siedział jakiś mężczyzna ubrany równie gustownie jak on. Zakrywał swą twarz okularami i jakąś przestarzałą gazetą sprzed paru lat. Nosił na głowie czarną Fedorę, która była na niego zdecydowanie za duża. Cały czas coś mruczał pod nosem. Malarz wziął go za dziwaka i nie zwracał już więcej na niego uwagi.

Kilka minut po godzinie czternastej Józef wreszcie znalazł się w Turku. Poszedł zwiedzić najpierw rynek, który być może zainspirowałby go do czegoś. Było tu strasznie tłoczno, za czym Mehoffer niezbyt przepadał. Obszedł więc na szybko całość, ale ostatecznie zatrzymał się przy budynku ratuszu, w którym dostrzegł coś intrygującego. Popatrzył chwilę i pokierował się w stronę ulicy Kaliskiej, którą podążał w stronę jednego z domów tkaczy o numerze 46. Miał tam zatrzymać się do czasu

ukończenia kilku obrazów. Odszukał budynek i wszedł do niego. Powitali go młodzi nowożeńcy, którzy planowali pozostawić malarzowi w opiece ich dom, ponieważ zmuszeni byli opuścić na jakiś czas Turek i wyjechać do Krakowa. Była to daleka rodzina Jana Matejki.

Dom w środku był skromnie urządzone. Wewnątrz znajdowały się staromodne, drewniane meble. Wyglądały na świeżo malowane, jakby specjalnie to zrobili na wizytę Mehoffera. Józef, gdy wszedł do salonu, stwierdził, że jest nieco podobny do tego, w którym się wychowywał w swoim rodzinnym domu. Mehoffer wziął do ręki książkę leżącą na regale, usiadł na fotelu i zajął się lekturą. Tak go to pochłonęło, że gdy skończył czytać, zauważył, że jest już noc.

Wstał kolejny dzień. Józef zabrał całe potrzebne wyposażenie, ubrał swój ulubiony surdut i spakował ze sobą również stary koc, by nie pobrudzić płaszcza. Szedł parę kilometrów nad Kielbaskę polnymi drogami i szukał odpowiedniego miejsca, by rozstawić sztalugę. Wybrał zwykłe pole, z którego tyłu wyrastał las iglasty. Kilka metrów z przodu na lewo od sztalugi znajdował się wielki dąb. Mehoffer wziął się więc do malowania i wyjął cały niezbędny sprzęt. Zaczął od rysowania szkicu, który zajął mu całe popołudnie. Było bardzo gorąco, więc zdecydował się w końcu na zrzucenie palta. Położył go na kocu i wyciągnął z torby bukłak, by napić się trochę wody i ugasić pragnienie.

Okazało się, że ta ilość wody mu nie wystarczyła. Przypomniał sobie natychmiast, że w pobliżu widział jakieś gospodarstwo i pomyślał, że może znalazłby kogoś, kto byłby w stanie go uratować. Zostawił więc wszystko, bo było to około pięciuset metrów od miejsca, w którym tworzył swoje arcydzieło. Gdy dotarł do podwórka, zauważył jakąś staruszkę, która zajmowała się karmieniem kur. Przekroczył drewnianą bramę i głośno przywitał tą panią.

- Dzień dobry Pani! Moje uszanowanie! - powiedział Józef i ukłonił się przed nią jak dżentelmen.

- Witam Cię młodzieńcze. Co cię tu sprowadza do mojego skromnego gospodarstwa? - zapytała.

- Nieopodal odpoczywam sobie na polu. Niestety skończyła mi się woda w bukłaku, a jest upiornie gorąco - mówił spragniony Mehoffer. - Czy mógłbym liczyć na Pani pomoc?

Staruszka kiwnęła głową na znak zgody i zaprowadziła malarza do domu. Podała mu kubek i wlała przegotowanej wody. Usiadła obok niego i zaczęli ze sobą rozmawiać o tym, co go skłoniło do odpoczywania w takim miejscu z daleka od ludzi i o tym, że jest tutaj samotna. Dowiedział się jeszcze, że jest starą wdową. Z początku babcia wydawała się wścibska, bo cały czas zadawała pytania o jego życie prywatne, ale Mehoffer na wszystko

odpowiadał bez problemu. Rozmowa potem przerodziła się w tak przyjemną pogawędkę, że staruszka zechciała go poczęstować obiadem. Podała mu ziemniaki z ogniska, gotowaną marchewkę oraz placki ziemniaczane. Józef skosztował tego, czym go poczęstowano, przeprosił i powiedział, że musi już wracać. Podziękował i opuścił jej posesję.

Najedzony i napity malarz wrócił w miejsce, gdzie malował ten cudowny krajobraz. Zaszło już słońce, więc stwierdził, że wróci już lepiej do domu. Zabrał swoją torbę i palto, a następnie ruszył w drogę do domu tkaczy. Przez całą trasę pomyślał, że będzie pewnie tutaj przychodził przez kilka kolejnych dni, tak więc uznał, że musi jakoś nazwać to miejsce. Do głowy przyszło mu jedynie „Ośrodek Dębu”.

Trafił do mieszkania, otworzył drzwi i położył się do łóżka. Kolejnego dnia znów spakował swój asortyment i poszedł do Ośrodka. Namalował już mniej więcej jedną trzecią tego, co miał zrobić. Nie zajęło mu to za dużo czasu. Tego dnia bardzo miał ochotę na odstresowanie się przy pędzlu. Przed wieczorem udał się jeszcze do staruszki, żeby trochę z nią porozmawiać. Ten wieczór minął mu w dokładnie ten sam sposób, co wcześniejszy.

Minęły tak kolejne cztery dni. Dzieło Mehoffera było już prawie skończone. Wystarczyło tylko się podpi-

sać. Bardzo podobała mu się jego praca, jak nigdy dotąd. Uznał, że pójdzie do jego ulubionej pani, a podpisze się, gdy tylko wróci. Emerytka poczęstowała go jej ciasteczkami i wypili razem kawę.

Józef w końcu zebrał się i wracał w kierunku Ośrodka Dębu. Zauważył tam czarną smugę przechodzącą obok jego sztalugi. Malarz zignorował to i nadal spokojnym krokiem szedł w tę samą stronę. Gdy zbliżał się coraz bardziej, zauważył, że na sztaludze nic nie stoi. Józef przeraził się i od razu poczuł się jakoś słabiej.

Doszedł do miejsca zdarzenia i od razu zrozumiał, że to „coś”, które zauważył po drodze, musiało ukraść mu jego obraz. Był bardzo zawiedziony, że je stracił. To dzieło było jednym z lepszych, które dotychczas stworzył. Miał szansę na rozwój swojej kariery wraz z mecenasem, ale teraz gdy skradziono mu to cudowne arcydzieło, wszystko przepadło. Mehoffer był pewien, że właśnie to malowidło przekona go do współpracy z nim.

Zasmucony malarz zawrócił do staruszki z prośbą o przenocowanie w salonie. Babcia podała mu kołdrę i poduszki, a ten grzecznie podziękował. Spytała się go, dlaczego ma taką skwaszoną minę. Opowiedział jej więc o losie, który go spotkał. Złożyła mu wyrazy współczucia i opuściła pomieszczenie. Następnego dnia ta sama pani przyszykowała mu świetne śniadanie.

- Chciałabym mieć takiego syna - powiedziała, a Mehoffer się tylko zaśmiał. Po poczęstunku wyszedł z jej domu i stwierdził, że najlepszym rozwiązaniem byłaby jednak próba znalezienia jego zguby. Nadal nie tracił chęci i nadziei na zostanie sławnym artystą. Pierwsze co począł, gdy wpadł na ten pomysł, to napisał list do Matejki z wyjaśnieniami całej sytuacji. Czekał kilka dni na odpowiedź. Finalnie otrzymał ją od Jana i go przeczytał.

*„Drogi Józefie,
przykro mi słyszeć tę tragiczną historię, natomiast chciałbym Ci przypomnieć o Zyguncie, który wkrótce miał się z Tobą spotkać. Odwiedzi Cię w ciągu kilku kolejnych dni, a następnie zaprowadzi na jakiś czas do swojego pałacu w Czarkowach. Nie przejmuj się, myślę, że nie zaprzepaścisz swojej szansy na tak nie-mądrym zdarzeniu.*

Z poważaniem, Jan.”

Mehoffer uradował się na tę wiadomość. W niecierpliwości czekał cały czas na wizytę mecenasa. Nie potrafił się sobą zająć, bo cały czas zaprzętał sobie głowę tą sytuacją. Minął tydzień od listu Matejki, a nadal nie było widać Pusłowskiego. Malarz, żeby zleciał mu jakoś czas, zajął się tworzeniem papierowych modeli budynków, które widział na rynku Turku.

Na pierwszy ogień poszedł budynek ratusza, który wywarł na nim szczególne wrażenie. Nigdy się nie zaj-

mował czymś takim, ale akurat ten budynek odwzorował bardzo dokładnie. W ciągu tych siedmiu dni stworzył kilka innych modeli, ale nic nie było tak idealne jak tamten pierwszy.

Usłyszał nagle pukanie do drzwi. Józef mozolnie wstał i odszedł od stołu, gdzie sklejał papierowe budynki. Spodziewał się jakiegoś sąsiada lub listonosza, ale mocno się zdziwił, gdy pociągnął za klamkę. W progu drzwi ujrzał eleganckiego mężczyznę w ciemnych ubraniach, który podawał się za Zygmunta Pusłowskiego. Mehoffer przedstawił mu się i zaprosił go do środka, ale odmówił mu i poinformował go, by spakował kilka ubrań i że wyjeżdżają do Czarkowa. Malarz tak więc postąpił. Pокierowali się w stronę dworca i po długiej i wyczerpującej podróży dostali się do pałacu w Czarkowie. Zanim weszli do środka, Zygmunt szybko powiedział, żeby Mehoffer został na chwilę przed wejściem, bo musi coś załatwić. Wszedł bardzo ostrożnie i powoli, nie otwierając drzwi zbyt szeroko. Wkradł się tam, jakby był to jakiś złodziej. Siedział kilka minut i wyszedł w końcu cały spocony i czerwony. Pozwolił mu wejść i kazał mu się rozgościć.

Pałac, jak to na pałac przystało, był bardzo modnie wystrojony. Znajdowało się tam wiele malowideł różnych artystów. Meble gustowne, występowały wraz z dużą ilością elementów złota, które dopełniały wygląd wnętrza. Parkiet błyszczał się i wyglądał na dopiero co wypolerowany. Mehoffer czuł się tam jak w siódmym

niebie.

Było już późno. Mecenas poszedł spać. Józef nie mógł usnąć, więc stwierdził, że jeszcze trochę pozwiedza ten cudowny zameczek. Jako, że parter już widział, poszedł oglądać strych. Pomyślał, że będzie to pewnie idealne miejsce do malowania.

Strych był bardzo zakurzonym miejscem, czego oczywiście można było się spodziewać. Stało tam dużo skrzynek wypełnionych starymi antykami, a obrazy wraz z posągami zakryli jakimś materiałem. Zdjął z rzeźby pierwsze prześcieradło i fala kurzu spadła na niego. Lekko zaczęło go to dusić, ale przeczekał ten dym i jego oczom ukazało się popiersie Fryderyka Chopina. Malarz skądś je kojarzył. Usiadł przez chwilę na skrzynce i podziwiał figurkę. Wykonano ją z marmuru.

Mehofferowi przypomniało się, kto mógł ją stworzyć. Założył, że był to Konstanty Laszczka. Jedną z osób, której poświęcił czas na namalowanie jej portretu. Tak jak myślał, tak zgadł. Pod spodem miniatury Fryderyka było napisane, kto był jej autorem.

Później zostawił tę rzeźbę i poszedł oglądać kolejne dzieła na strychu. Napotkał jeszcze popiersia kilku innych sławnych polskich twórców. Przeszedł do obrazów, których nie było za dużo, bo zaledwie 5. Jego zdziwienie wywołał jeden obraz, który nie był zakurzony

w przeciwieństwie do reszty przedmiotów, które znajdowały się w tym miejscu. Zostawił go na koniec i poszedł dalej oglądać pozostałe. Spotkał się jeszcze raz z Chopinem, ale tym razem na płótnie, kolejnym obrazem były losowe, kolorowe plamki, trzecim lilie wodne na jeziorze, a przedostatni przedstawiał rynek krakowski. Mehofffer coraz bardziej zaczął kaszleć przez kurz natomiast nie zważając na to uwagi, odsłonił ostatnie, najmniej zakurzone dzieło.

Okazało się, że to był jego obraz, który mu skradziono. Malarz wzruszył się ze szczęścia, że będzie miał większą szansę na współpracę z mecenasem. Objął obraz i zaczął już rozmyślać nad jego przyszłością w świecie prawdziwych artystów. Patrzył na swój obraz przez kilka minut, ale jego szczęście w pewnej chwili przepadło w moment. Zdał sobie sprawę, że jego obraz znajdował się przecież u Zygmunta Pusłowskiego.

Wybiegł z poddasza na sam dół i szukał sypialni mecenasa. Otwierał dziesiątki drzwi ze złością i zamykał je z takim hukiem, że Pusłowski się obudził. Spytał spokojnie Mehofffera, co się stało, że jest taki rozjuszony. Ten tylko się uśmiechnął, przycisnął go do ściany i rzucił ostro pytaniem, dlaczego to zrobił i czy był jego jedyną ofiarą. Zygmunt nadal nie wiedział, o co chodzi, tak więc Józef szarpnął go za rękę i rozwścieczony zaprowadził go na strych i pokazał mu obraz.

Zygmunt próbował się wyrwać spod jego rąk i gdy ostatecznie mu się to udało, natychmiast opuścił pałac i schował się przed Mehofferem. Malarz w akcie złości przewracał wszystkie rzeźby i zrzucił na ziemię obrazy. Zostawił jedynie swój i zabrał go ze sobą, zszedł na parter i spakował szybko wszystkie rzeczy. Opuścił również budynek i wrócił na dworzec kolejowy.

Po kilku godzinach znalazł się w Turku. Udał się do domu tkaczy przy ul. Kaliskiej, otworzył drzwi, porzucił wszystkie rzeczy w sieni i od razu zasiadł do stołu, pisał długi list o tym, kim tak naprawdę jest przyjaciel Matejki. Wyszedł z mieszkania i wysłał do niego wiadomość. Położył się później w fotelu i po długim dniu ze zmęczenia usnął tam. Mehoffer nie otrzymał żadnej korespondencji od Jana, ale w ciągu 3 dni przyjaciel odwiedził go przy Kaliskiej 46. Pocieszył go i zaproponował mu, że byłby skłonny znaleźć mu kolejnego mecenasa, który pomógłby mu rozwinąć skrzydła.

Tak poznał Benedykta Tyszkiewicza, który wcześniej współpracował z Janem. Tyszkiewiczowi bardzo spodobał się sposób i styl, w którym malował Mehoffer. Zostali bardzo bliskimi przyjaciółmi. Zamieszkał w jego rezydencji w Czerwonym Dworze. Benedykt bardzo wspierał twórczość Józefa. Przy jego udziałach prace malarza stawały się coraz bardziej popularne.

Mehoffer zaczął częściej podróżować i tworzyć witraże. Raz, wyjechał z powrotem do Turku, do domu młodego małżeństwa na kilkanaście miesięcy i wystroił wewnątrz tamtejszego Kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Wykonał również kilka witraży dla tej świątyni.

Na zakończenie swojego pobytu w Turku odwiedził jeszcze Ośrodek Dębu i spotkał się z tamtą przeuroczą staruszką. Namalował nawet dla niej jej własny portret, który niestety po jakimś czasie musiała sprzedać, bo zaczęło jej brakować pieniędzy na własne utrzymanie. Mehoffer ostatecznie sprzedał obraz, który mu skradziono, za fortunę. Zrozumiał w końcu, że tym dziwakiem z pociągu był Pusłowski i prawdopodobnie przez cały jego pobyt w Turku musiał za nim podążać.

Uświadomił jeszcze sobie, że skoro pozbył się tamtego obrazu za niewiarygodną cenę bez żadnego problemu, musiało coś każdego do niego ciągnąć. Doszedł więc do wniosku, że Zygmunt ukradł mu jego dzieło, bo widział w nim potencjał. Wiedział, że mógłby w późniejszym czasie wzbic na tym niesamowitą sumę pieniędzy.

ALEKSANDRA SKAŁA

Historia rodzinna

Pewnego letniego dnia, przeglądając rodzinny album zaczęłam zastanawiać się czemu na rodzinnym zdjęciu kawałek jest odcięty. Poszłam zapytać się o to mamy, ale niestety nie miała czasu, ponieważ pakowała nas na wyjazd do dziadków na wieś. Pomyślałam, że może ich się o to zapytam, czy wiedzą kto został wycięty ze zdjęcia. Nie mogłam spać przez całą noc, ponieważ ciągle nad tym rozmyślałam.

Następnego dnia z samego rana wyjechałyśmy. Po kilku dłużeńych mi się godzinach, wreszcie dojechałyśmy. Babcia powitała nas pyszną szarlotką i wiśniowym kompotem, natomiast dziadek zrobił wyśmienitą kaczkę na kolację. Po posiłku najpierw się zapytałam babci, czy wie, kto mógł tam być, niestety powiedziała:

- Nie interesuj się tym, ponieważ jesteś jeszcze za mała, żeby to zrozumieć.

- Ale babciu... - odpowiedziałam zdziwiona.

Pół godziny później zapytałam się dziadka o to samo, jednak odpowiedział:

- Pytałaś się już o to babci?

- Tak, ale powiedziała, żebym się tym nie interesowała.

- Jeżeli babcia tak powiedziała, to lepiej o tym już nie myśl - odparł stanowczo i odszedł.

Kolejnego dnia była niedziela i dziadkowie z mamą poszli do kościoła. Ja zostałam, ponieważ gorzej się czułam, lecz wykorzystałam ten czas, że jestem sama w domu i postanowiłam przeszukać szafki na strychu, żeby znaleźć odpowiedź na moje pytanie. Po kilku minutach przeglądania zobaczyłam kawałek pasującego zdjęcia do tego co znalazłam w albumie. Był na nim pan w mundurze, w średnim wieku. Odwróciłam zdjęcie, zobaczyłam napis i głośno go wypowiedziałam:

-

Generał Mieczysław Makary Smorawiński.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami i obudziłam się w innym miejscu. Leżałam na podłodze ze zdjęciem w ręku u kogoś w sypialni. Po chwili wszedł mężczyzna. Na początku go nie poznałam, jednak gdy się przedstawił wiedziałam już kim jest. Był to Włodzimierz Pietrzak. Zdziwiona zapytałam:

- To ty nie umarłeś?!

- Co?! Mamy 1937 rok. Skąd ty się tu wzięłaś? – mocno zszokowany odpowiedział. Wytłumaczyłam wtedy mu całą historię ze zdjęciem oraz z dziadkami i kontynu-

owałam dalej.

- Wiesz gdzie przebywa teraz Mieczysław Smorawiński?

- Niestety nie, ale na pewno będzie wiedział Felicjan Składkowski, możemy się do niego wybrać - zaproponowałam.

Pomyślałam, że fajnie będzie poznać kolejną historyczną osobę, więc odpowiedziałam:

- Pewnie, ale najpierw ci opowiem jako kto się zasłużyłeś w przyszłości.

Po krótkiej opowieści, wybraliśmy się do posiadłości Składkowskiego. Jednak go nie zastaliśmy, dopiero udało się to w urzędzie. Właśnie wychodził. Zaprosił nas do siebie do domu, zaproponował nam ciasto i zapytał:

- Co was do mnie sprowadza?

- Wiesz gdzie aktualnie mieszka Mieczysław Smorawiński?

- Tak, w Lublinie, a czemu pytasz?

- Pytam, ponieważ muszę ustalić czy to on jest na zdjęciu mojej rodziny - oznajmiłam.

Zdecydowaliśmy z Pietrzakiem, że na drugi dzień się tam wybierzemy. Natomiast tego samego dnia, Włodzimierz oprowadził mnie po Warszawie i opowiedział mi historie ze swojego dzieciństwa i młodości. Wieczorem powiedziałam mu jeszcze, że w moim mieście – Turku, jest biblioteka jego imienia. Bardzo się zdziwił, ponieważ dopiero napisał dwie książki. Tak się zagadaliśmy, że dopiero nad ranem poszliśmy spać.

Kiedy wstaliśmy po krótkim śnie, szybko się uszykowaliśmy. Wówczas podjechał po nas powóz. Kilka godzin później byliśmy już na miejscu. Było południe więc Smorawiński zaproponował nam obiad. Po zjeźdzeniu pokazałam mu całe zdjęcie i zapytałam się czy to przypadek, że jest z moją rodziną na zdjęciu. Na to on odpowiedział:

- To nie przypadek, że jestem na tym zdjęciu - powiedział zszokowany Mieczysław.

- Kim jest dla ciebie moja prababcia? - zapytałam.

- Kilka lat temu, byłem z Ludwiką w związku, ponad rok. Niestety później musiałem wyjechać w celach zawodowych, natomiast ona została. Nie wiedziałem, że była w ciąży.

- Niestety w moich czasach ona już nie żyje a ja jestem jej prawnuczka.

- A żyje córka Ludwiki?

- Tak, żyje, mogę Ci o niej opowiedzieć - oznajmiłam.

Opowiedziałam mu trochę o mojej babci, jej mężu i córce a później o współczesnym życiu i przyszłości. Niestety musiałam już wracać do swojego świata. Pożegnałam się z nimi i za wszystko podziękowałam, jednak oni uprzedzili mnie, że nie będą pamiętać, lecz ja wszystko zapamiętałam. Po chwili wypowiedziałam znów głośno „Generał Mieczysław Makary Smorawiński”, zamknęłam oczy i już leżałam u moich dziadków w domu. Okazało się, że w rzeczywistym świecie minęło 30 minut.

Chwilę zbierałam myśli i wrócili dziadkowie z moją mamą z kościoła. Zjedliśmy obiad i postanowiłam im powiedzieć, że znam całą historię naszej rodziny. Byli bardzo zszokowani (najbardziej chyba babcia, ponieważ aż spadła z krzeselka). Od razu zapytali skąd się dowiedziałam, jednak nie chciałam im mówić prawdy, więc powiedziałam:

- Znalazłam trochę w Internecie, trochę w starych albumach, lecz jestem dumna, z tego, że mamy tak niesamowitą historię rodzinną.

DOMINIKA PIĄTKIEWICZ

Niesamowita przygoda

Pewnego pogodnego dnia, a dokładnie dzień przed moimi urodzinami, spędzałam czas z moją przyjaciółką. Spotkałyśmy się w tym samym miejscu co zwykle, czyli w parku. Bardzo lubiłyśmy to miejsce, ponieważ było tam cicho i przytulnie.

Idąc na zakupy, które były potrzebne mi na urodziny, spotkałyśmy staruszka. Był on lekko straszny, ale w głębi duszy wydawał się sympatycznym człowiekiem. Trzymał w ręce dwa średniej wielkości zegary, mówiąc: „Tylko dwa wyjątkowe zegary z wyjątkową zagadką”. Bardzo się tym zaciekawiliśmy, a zwłaszcza moja przyjaciółka Ola (bo tak miała na imię). Z racji tego, że nie miała dla mnie jeszcze żadnego prezentu to zapytała:

- Chciałabyś taki prezent? Myślę, że jest on ciekawy, a przy okazji zobaczymy, co to za zagadka - odparła.

- Uważam, że to ciekawy pomysł na prezent, jeśli chcesz to możesz kupić - odpowiedziałam z zaciekawieniem.

Po krótkich zakupach obie poszłyśmy do domu, ponieważ robiło się ciemno i chłodno. Następnego dnia (był to dzień moich 13 urodzin) bardzo się cieszyłam,

bo przez całą noc rozmyślałam nad tym, jaką zagadkę kryje ten zegar. Wszystko było już uszykowane i wraz z moimi rodzicami czekaliśmy na gości.

Po niecałej godzinie zaczęli się schodzić członkowie imprezy urodzinowej. Ostatnia przyszła Ola, czyli najbardziej przeze mnie wyczekiwany gość uroczystości. Tak bardzo nie mogliśmy się doczekać tej zagadki, że od razu po zakończeniu imprezy pobiegliśmy do mojego pokoju, aby przeczytać instrukcję, która była dołączona do zegara. Trzeba było wypowiedzieć trzy razy słowa, które brzmiały tak: „Kochany zegarze przenieś mnie w rok 1938”. Szczerze mówiąc, zupełnie w to nie wierzyliśmy, że jakiś zegar przeniesie nas w inny rok.

Na początku obie chciałyśmy zobaczyć czy to działa, ale w ostatnim momencie Ola się wycofała. Ja jednak chciałam to sprawdzić i zaczęłam odważnie wypowiadać na głos słowa dołączone do zegara.

Przez kilka sekund zupełnie nie wiedziałam co się dzieje, ale po chwili zorientowałam się, że rzeczywiście jestem w zupełnie innym miejscu i roku. Nie wiedziałam co w ogóle mam zrobić, bo nikogo nie znałam, aż do momentu, gdy pojawił się on. Mężczyzna, którego w ogóle nie poznawałam, zaczął mi się przedstawiać. Nazywał się Felicjan Sławoj Składkowski i okazał się być znaną osobą. Był premierem Rządu RP oraz praktykującym lekarzem. Trochę się przestraszyłam, bo przebywałam z obcym

mężczyzną, w obcym miejscu, a jeszcze jak by mi tego brakowało, nie wiedziałam, jak wrócić do domu. Bardzo niespodziewanie zapytał się mnie:

- Młoda damo, czy przybyłaś tu z zegara, bo nie wyglądasz, jakbyś pochodziła stąd - oznajmił.

-Tak, a skąd pan to wie?- zapytałam nieśmiało.

- Aby się tu dostać, jest to jedyna droga, z której nie ma powrotu - powiedział.

- Nie ma powrotu? Ale jak to? - zapytałam ze łzami w oczach.

- Nie przejmuj się, zaopiekuję się tobą - powiedział.

Zaprosił mnie do domu, abym zjadła coś ciepłego. Była zupełnie inna godzina niż w momencie, w którym wypowiadałam trzy razy słowa, których teraz żałowałam – było tam rano. Przy śniadaniu bardziej opowiedział mi o tym, czym się zajmuje m.in. o tym, że jako praktykujący lekarz wiedział jak ważna jest higiena i jak wiele chorób się przenosi gdy jej nie utrzymujemy, więc zarządził budowy drewnianych ustępów, które sam później kontrolował. Nasza pogadanka trwała tak z ponad godzinę, ponieważ później zaczęło mi się nudzić.

W tamtych czasach nie było za wiele możliwości, więc zaproponował mi spacer. Zgodziłam się, mimo że do końca mu nie ufałam. Wiem, że to trochę dziwne, ale idąc między ludźmi, ujrzałam znów tego samego staruszka, od którego moja przyjaciółka kupiła zegar. Chciałam się już do niego odezwać, ale on widząc pana Składkowskiego, zaczął się kłaniać.

Zupełnie nie wiedziałam, o co chodzi, więc się zapytałam a on na to, że ludzie czasem tak robią, ale on dokładnie sam nie rozumie dlaczego. Zdziwiło mnie to dosyć i byłam zdruzgotana, bo bardzo chciałam wrócić do domu, a na razie nie widziałam żadnego rozwiązania. Chciałam już wracać (nie wiedząc, czy w ogóle będę mogła przenocować u mężczyzny), ale w pewnym momencie podjechał powóz, w którym siedziała kobieta. Nazywała się Żermina Składkowska i była żoną Felicjana.

Mężczyzna oznajmił, że musi wracać do pracy i teraz to ona będzie się mną opiekować. Wykrzyczałam, jak bardzo nie chcę, ponieważ była to kolejna nieznaną mi osoba. Po dłuższej dyskusji Pan Felicjan zgodził się, abym pojechała z nim wraz z jego żoną.

Nie ukrywam, bardzo chciałam zobaczyć, jak to wszystko wygląda bliżej. Niestety siedziałam tylko w takim korytarzyku. Mimo to było tam niezmiernie stare, a jednocześnie królewskie ściany z ogromnymi obrazami. Nigdy wcześniej nie widziałam tak zjawiskowe-

go miejsca. Siedziałam tam wraz z żoną Składkowskiego, a obok nas przechodzili ludzie w pięknie ubrane szaty.

Po krótkiej chwili weszła najmniej spodziewana osoba. Był to staruszek. Widząc mnie, podszedł do mnie i zaczął mówić, szepcząc, że pomoże mi wrócić do domu jeśli poproszę pana Felicjana i jego żonę o to, aby pojawili się na uroczystym otwarciu parku Żerminy Składkowskiej w Turku. Uroczystość rozpoczynała się tego samego wieczora. Bardzo mu na tym zależało, widziałam to w jego oczach. Zgodziłam się, a on odszedł z uśmiechem na twarzy.

Po zakończeniu przemówień Pana Składkowskiego od razu zabrałam się do zapytania małżeństwa, co sądzą na ten temat i czy się zgodzą. Po długich namawianiach przytaknęli i byłam im bardzo wdzięczna za to.

Od razu wyjechaliśmy do Turku, bo czekało nas kilka godzin jazdy, aby zdążyć. Przyszedł wieczór i czas rozpoczęcia przemówień. Byłam podekscytowana i nie mogłam się doczekać. W oddali zobaczyłam staruszka, który pomachał nam i podziękował.

Podczas przemówień starszy pan poprosił mnie na bok i wyjaśnił, że gdy będę gotowa, to pomoże mi się przedostać do mojego świata. Dał mi tylko wskazówki, że będę musiała przy nim wypowiedzieć te same słowa

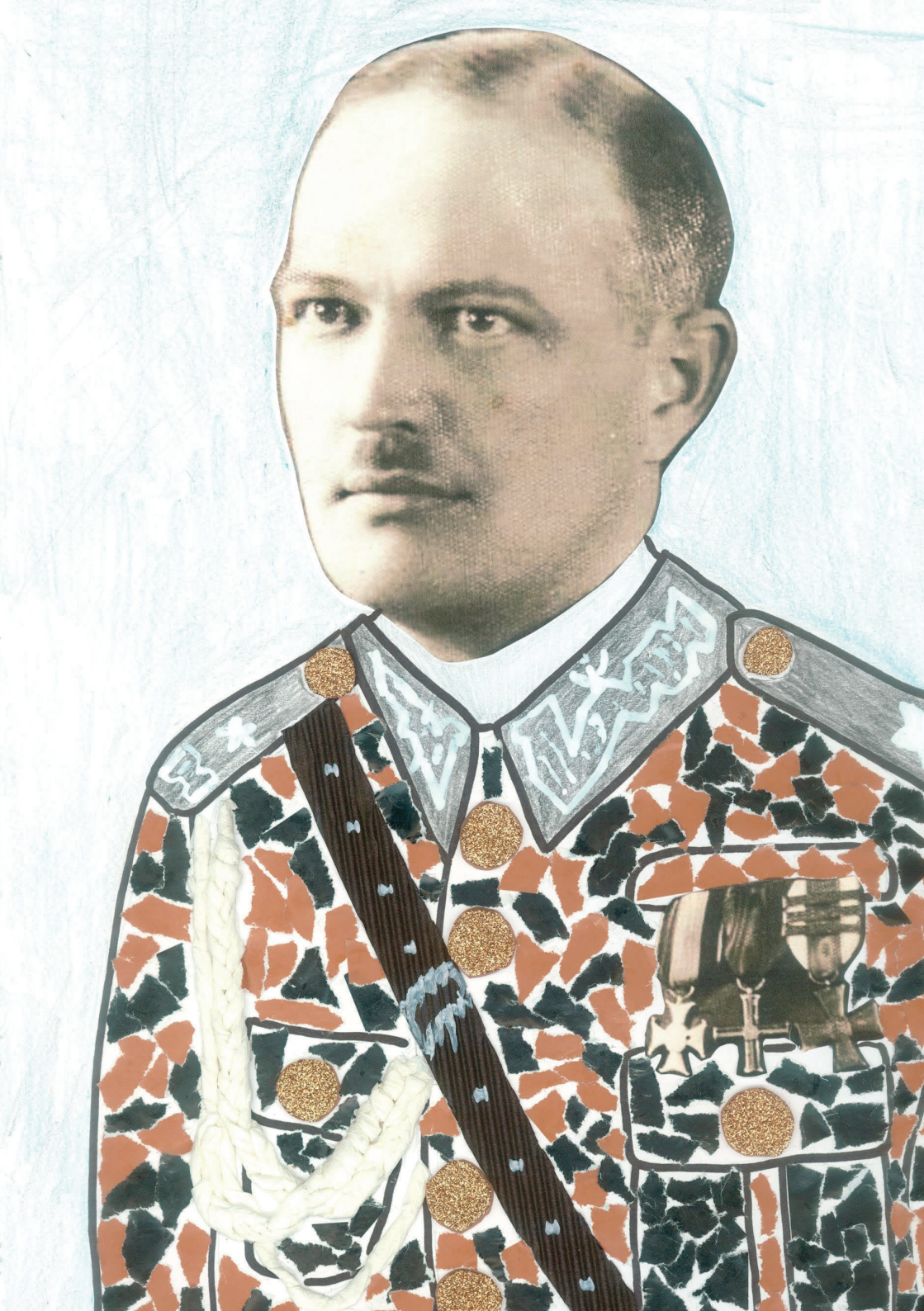
trzykrotnie.

Po zakończeniu przemówień Pani Składkowskiej wybraliśmy się na darmowy poczęstunek z okazji otwarcia parku. Kobieta nie umiała powstrzymać łez, ale było widać, że są to łzy szczęścia. Zaproponowałam, abyśmy wszyscy, wraz z staruszką, poszli pooglądać miasto (byłam bardzo zaciekawiona, jak to wyglądało kiedyś).

Rynek nawet w tamtych czasach był śliczny. Widziałam, że nie tylko ja byłam zainteresowana. Większość rzeczy wyglądało kiedyś zupełnie inaczej, ale to dawało taką magię samą w sobie. W tamtym momencie pomyślałam, że jest to idealny moment, aby powrócić do domu. Podeszłam do staruszki i oznajmiłam mu, że jestem już gotowa. Pożegnałam się z małżeństwem, mimo że tak bardzo nie chciałam. Nie przedłużając, szybko wypowiedziałam słowa i w ułamku sekundy znalazłam się u siebie w pokoju.

O dziwo moja przyjaciółka dalej tam była, a ja bardzo się ucieszyłam i jednocześnie byłam bardzo zdziwiona, że ona tu jeszcze siedzi koło mnie. Od razu zaczęła mnie wypytywać gdzie byłam i co robiłam. Opowiedziałam jej wszystko, a na końcu zadałam jej pytanie, czemu siedziała tu przez cały dzień, a ona na to – „Jak przez cały dzień? Ciebie nie było maksymalnie 10 min.”

To było bardzo dziwne doświadczenie, które z chęcią bym powtórzyła. Przeżycie to było ciekawe i będę to wspominać. Natomiast zegar stoi cały czas w szafie, ale już nigdy w taki sposób ani razu nie został użyty.



AMELIA MARCZAK

Dzieje polskiego generała

Pewnego, zimowego dnia, w domu rodziny Smorawińskich na świat przyszedł mały chłopiec o imieniu Mieczysław. Wychowywany był w patriotycznej i ciepłej atmosferze - tak jak jego pozostałe siedmioro rodzeństwa, z którym uwielbiał się bawić. Jego ojciec prowadził garbarnię a matka zajmowała się opieką nad dziećmi i domem. Mijały lata a Smorawiński rósł i stawał się "małym mężczyzną". Nadszedł czas na edukację. Swoją naukę rozpoczął w szkole elementarnej w Turku, a później uczył się w Szkole Handlowej w Kaliszu. Dzięki kadrze pedagogicznej w tej kaliskiej szkole Mieczysław mógł pogłębiać swoją miłość do ojczyzny. Niedługo później wstąpił do młodzieżowej organizacji niepodległościowej "Zarzewie".

Był słoneczny, majowy dzień. Nic nie zanosilo się na to, co wkrótce się wydarzyło. Smorawiński wraz ze swoimi znajomymi udali się na piknik do lasu. Rozłożyli koc i zaczęli rozmawiać o przeczytanych lekturach, lecz po czasie opowiedzieli wszystkie szczegóły i zaczęli się nudzić.

- Mam pomysł. Może pobawimy się w chowanego? - proponował jeden czarnowłosy kolega, który tylko czekał, aby się coś ciekawego działo.

- Ale przecież to zabawa dla maluchów! - odpowiedział chłopiec w rudej czuprynie, która w słońcu wyglądała na jeszcze bardziej rudą niż była.

- Nie marudź! - odrzekł Mieczysław. - przecież to jest dobry pomysł. My tylko ciągle jesteśmy poważni, a przecież trzeba się kiedyś rozerwać.

I zaczęła się zabawa. Odliczanie rozpoczęła Makary (tak miał na drugie imię Smorawiński).

- Raz, dwa, trzy... Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, STO!

Skończył odliczać i zabrał się do szukania kolegów. Zaglądał wszędzie: pod krzaczki, w różne doły. Zaczął szukać na drzewach. Gdy schodził z jednego, zauważył, że na ziemi - około 150 m od niego - zza krzewami ktoś się porusza. Człowiek miał złoto-rudawe włosy, lecz nie było mu widać twarzy.

- Ej ty, mam cię! - wykrzyczał Mieczysław, schodząc z drzewa. Jednak im bliżej był ziemi, tym bardziej nie był pewien, czy to jego kolega.

Smorawiński zszedł z drzewa i biegł do tej osoby, którą uznał za swojego znajomego. Był coraz bliżej i bliżej... A nagle spoza drzew wyłoniły się sylwetki wysokich, wysportowanych mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w ciemne płaszcze ze złotymi guzikami

oraz tego samego koloru spodnie. To były służby mundurowe.

- Czy to Pan Mieczysław Makary Smorawiński? - zapytał jeden z funkcjonariuszy.

Mieczysławowi serce na chwilę przestało bić. Czuł ogromny stres, gdyż brał on udział w bojkotowaniu szkoły razem ze swoimi przyjaciółmi. Miał już uciekać, lecz zauważył, że jeden z mężczyzn trzyma jego czarnowłosego kolegę.

- Tak, to ja - odrzekł i przykucnął.

- Zostajesz aresz...- chciał powiedzieć policjant, gdy nagle Smorawiński rzucił ziemią zmieszaną z piaskiem w ich oczy. W tym czasie, przez zamieszanie, funkcjonariusz puścił złapanego chłopca.

- Uciekaj! - wykrzyczał Mieczysław. Chłopiec był przerażony. Ze strachu nie mógł się ruszyć z miejsca.

- No już, uciekaj! - powtórzył.

Kolega posłuchał go i uciekł. W tym czasie mundurowi ocknęli się i zaczęli kopać oraz bić Mieczysława.

- Zostajesz aresztowany za bojkotowanie szkoły - dokończył swoją wypowiedź funkcjonariusz. - A za to, co teraz

zrobiłeś to jeszcze porozmawiamy na komendzie.

Zabrali go do pojazdu i pojechali na posterunek. Gdy dojechali, na miejscu czekał już na młodego Mieczysława wyrok – w postaci więzienia...

Minęło sześć miesięcy, odkąd Smorawińskiego pozbawiono wolności. Nagle otworzyły się drzwi do celi.

- No, Mieczysław, pojedziesz sobie na "wycieczkę" - rzekł strażnik więzienny, chowając przy tym klucze.

- "Wycieczkę"? Nie rozumiem - zapytał ze zdziwieniem chłopak.

- Zostaniesz wywieziony do Jekaterynosławia. - odparł mężczyzna.

- I cóż ja mam teraz począć... - westchnął.

Nastał dzień wyjazdu. Smorawiński spakował swoje walizki i wsiadł w pociąg.

- Uważaj na siebie. Będziemy wszyscy za tobą tęsknić - powiedziała ze smutkiem i łzami w oczach mama Mieczysława.

- Jeszcze tu wrócę, obiecuję - odrzekł.

W tym czasie pociąg odjechał. Smorawiński po-

stanowił się zdrzemnąć. Gdy się obudził, był już w Je-katerynosławie. Dwóch mundurowych, którzy jechali z nim, aby go obserwować, zaprowadziło go do małego domku. Znajdowało się w nim 3 młodzieńców w tym samym wieku, co główny bohater oraz jedna starsza pani.

- Tu będziesz mieszkał - powiedział jeden z nich i zostawili Mieczysława.

Jak się później okazało pozostali chłopcy trafili tu z takiej samej przyczyny. Minęły trzy miesiące, a młody mężczyzna nie mógł znieść tej sytuacji. Zdecydował, że przedostanie się do Galicji. Tam rozpoczął studia. Nie zapominał również o pogłębianiu swojego patriotyzmu - ukończył Szkołę Podchorążych Polskich Drużyn Strzeleckich oraz brał udział w pracach tajnej organizacji wojskowej „Armia Polska”, z nadzieją, że przysłuży się kiedyś ojczyźnie.

W życiu Smorawińskiego zaczęło się powoli układać, gdy nagle wybuchła I wojna światowa, która unie-możliwiła mu skończenie studiów. Na wieść o tym podjął decyzję o rozpoczęciu służby w 2 Pułku Piechoty Legionów.

Jego przygoda z wojskiem tak się właśnie rozpoczęła. Mieczysław z wiekiem zaczął otrzymywać coraz wyższe stopnie wojskowe oraz brał udział w wielu bitwach.

Był ciepły czerwiec roku 1916. Smorawiński toczył walki ze swoim pułkiem pod Hruziatynem.

- Panowie - rzekł Smorawiński. - dziś znów walczymy za ojczyznę. Wielu z nas przelało już krew za ojczyznę, lecz i my się tego nie bójmy zrobić! Pamiętajcie: Bóg, Honor, Ojczyzna!

- Tak jest! - wykrzyczeli wszyscy żołnierze.

- Do ataku! - rzekł dowódca batalionu.

Walki były bardzo ciężkie. Wiele osób poniosło obrażenia i śmierć. W tym gronie również był Mieczysław. Został przewieziony nieprzytomny do domu swojego wujostwa.

Gdy się przebudził ujrzał przed sobą śliczną brunetkę, która ocierała mu twarz. Miała ona duże, brązowe oczy i okrągłą buzię. Dziewczyna widząc, jak mężczyzna otwiera oczy i patrzy na nią, zarumieniła się i szybko uciekła. Smorawiński wtedy nie czuł żadnego bólu. Myślał tylko o kobiecie, którą spotkał.

- Jak się czujesz? - zapytał wujek. - Po twoim uśmiechu widać, że chyba dobrze

- Ach, wuju, kto to był? - spytał się ranny mężczyzna.

- A to była moja sąsiadka, Helena - odpowiedział.
- Jak na razie musisz wyzdrowieć. Ciocia zrobiła ci supę.

Mieczysław z dnia na dzień zaczął nabierać sił. Pomagał wujostwu w różnych obowiązkach domowych oraz w pracy gospodarczej. Nadszedł czas, w którym musiał opuścić te tereny i powrócić do wypełniania służby.

- Dziękuję wam za opiekę i do zobaczenia - rzekł na pożegnanie cioci i wujowi.

- Żegnaj - odpowiedzieli mu. W tym czasie przybiegła Helena i uściskała Mieczysława.

- Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze tu wrócisz - powiedziała ze łzami w oczach.

Makary tylko się uśmiechnął, ucałował jej rękę i odjechał.

Cztery lata później główny bohater ponownie wrócił na wieś, gdyż poniósł bardzo poważne obrażenia w jednej z bitew wojny polsko - bolszewickiej. Na wieść o tym Helena zasmuciła się, lecz jej serce cieszyło się, że Mieczysław żyje oraz przyjedzie do Charsznicy, ponieważ będzie mogła go zobaczyć. Smorawiński również się radował, mimo licznych obrażeń. Gdy wrócił, Helena wyznała mu swoje uczucia. W tym również momencie mężczyzna oświadczył jej się i też wyznał,

że od pierwszego wejrzenia zakochał się w niej. Młodzi wzięli ze sobą ślub.

Przez kolejne 15 lat Smorawiński żył szczęśliwie. Posiadał wspaniałą rodzinę - mianowicie przez ten czas urodziła mu się córka i syn. W pracy uzyskiwał liczne awanse na stopień podpułkownika, dowódcy piechoty a nawet generała brygady.

Niestety agresja ZSRR na Polskę wzrastała. Mieczysław rozpoczął pertraktacje z Armią Czerwoną i według ustaleń wraz z żołnierzami i oficerami mieli się kierować w kierunku Bugu. Jednakże 20 września 1939 roku zatrzymano i ogłoszono ich jeńcami wojennymi. Smorawiński został internowany przez Sowieców. Trafiał do różnych obozów - na samym końcu przewieziono go do obozu w Kozielsku.

Oficerowie i on siedzieli w jednym pomieszczeniu. Nagle usłyszeli strażników zbliżających się do nich.

- Szybko ubierajcie się i wchodźcie do pojazdu - poganiarli ich rosyjscy żołnierze.

- Dokąd nas zabieracie? - zapytał jeden z będących tam generałów.

- Nie ma czasu na rozmowy - odrzekli mu i zaczęli popędzać innych.

Jechali bardzo długo. Gdy podróż się skończyła, kazali im wysiadać. Była to wieś, a dokładniej polana. Zaczęto zabierać jeńcom obrączki, scyzoryki, ruble, zegarki. Na środku polany znajdował się głęboki dół. Kazano im klękać na brzegu rowów, tyłem do Sowie-
tów. Wielu było opornych, lecz Smorawiński wiedział, że to już koniec. Zaczęły się huk strzałów pistoletu.

- Bóg, Honor, Ojczyzna! - zawołał Smorawiński, po czym kula dosięgnęła jego głowy.

Tą polaną był Katyń... Tak właśnie życie dzielnego żołnierza skończyło się poprzez okrutne, haniebne, nie-honorowe zabicie w tył głowy.

AMELIA KACZOROWSKA

Spotkanie z Cesarzem

Był piękny majowy dzień. Postanowiłam, że pójde na spacer, aby nie siedzieć w domu w tak piękną pogodę. Szybko się przebrałam i wyszłam z domu w kierunku pobliskiego parku.

Gdy dotarłam, usiadłam na ławce obok stawu. Nagle zobaczyłam jakąś postać, która chyba kogoś szukała. Wstałam i podeszłam bliżej. To był mężczyzn. Jedyne co mnie zastanawiało, to dlaczego jest tak dziwnie ubrany. Miał na sobie jedwabną chustę oraz szaty o ametystowej barwie. Mężczyzna miał włosy koloru rudego oraz był otyły. Postanowiłam się z nim przywitać.

- Dzień Dobry! Kim pan jest? - spytałam.

- Jestem Neron, wielki cesarz Rzymu- odpowiedział.

- A więc Neronie, co ty tutaj robisz?- zapytałam, ponieważ ta sytuacja bardzo mnie zaintrygowała.

- Sam nie wiem, gdy położyłem się spać byłem jeszcze w Rzymie, a jak się obudziłem znalazłem się tutaj - powiedział.

- Hmm.. to dziwne – odpowiedziałam. - Może chcesz ze mną usiąść na ławce?

- Dobrze ale tylko na chwilę, ponieważ muszę znaleźć rozwiązanie jak wrócić do domu.

- Może opowiesz coś o sobie? - zapytałam.

- No to jak wiesz jestem cesarzem Rzymu i to już od dawna. Zamordowałem moją rodzinę tylko po to, aby przejąć władzę.

- Ale przecież to okrutne - oznajmiłam.

-Taki już jestem, ja nawet o losy swojego kraju się nie troszczę.

Można by rzec, że jestem trochę w sobie zapatrzony, ale co poradzę, że jestem taki cudowny. Ale, żeby nie było, że jestem nie wiadomo jak okrutny, rozdałem moim poddanym zboże i oliwę.

- To trochę dziwne, cesarz nie powinien tak się zachowywać.

- Według mnie jestem niesamowitym władcą, ale nie tylko, jestem również śpiewakiem, poetą oraz aktorem. Mam wiele talentów. Jeśli chcesz mogę ci coś zaśpiewać.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam.

Według mnie ten cały Neron jest strasznie okrutny i arogancki.

- Będziesz tego żałować, ale jeśli nie chcesz mogę Ci jeszcze coś opowiedzieć. Ostatnio podpałilem Rzym, ponieważ bardzo chciałem zobaczyć go płonącego. Oskarżyłem chrześcijan o podpalenie.

- Ale dlaczego oskarżyłeś niewinnych ludzi, przecież oni nic nie zrobili! - bardzo mnie to rozzłościło.

- Nie chciałem zniszczyć sobie reputacji, a chrześcijanin i tak nie było mi szkoda. Zostali tylko podpaleni na krzyżach i poszarpani przez lwy na arenie.

- Jesteś okropnym człowiekiem - stwierdziłam.

- Ale za to jakim wspaniałym. Mam nadzieję, że nikt się jeszcze nie dowiedział, że to ja. Jak się dowiedzą, to mnie znienawidzą jeszcze bardziej.

- Mogłeś pomyśleć o tym wcześniej zanim to wszystko zrobiłeś - odpowiedziałam.

Neron wstał z ławki i popatrzył przed siebie.

- Muszę już iść - oznajmił i zaczął odchodzić.

To spotkanie było dla mnie bardzo dziwne. Jak Neron tu się w ogóle znalazł i jakim człowiekiem był. Gdy odszedł również wstałam i zaczęłam wracać do domu.

Nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się dookoła. Byłam u siebie w pokoju. Czyli to musiał być tylko sen, pomyślałam i położyłam się z powrotem, śniąc o innych dziwnych spotkaniach.



MAJA ZYGOŃ

Ławeczka Józefa Mehoffera

Było piękne, słoneczne piątkowe popołudnie. Wracałam ze szkoły i jak zwykle przechodziłam obok ławeczki Józefa Mehoffera położonej vis a vis naszego kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Nagle, pod wpływem impulsu, niemal przymusu wewnętrznego, siadłam na niej na chwilę i zaczęłam przyglądać się postaci, która „na zawsze” skamieniała na tej słynnej turkowskiej ławce. Ku mojemu zdziwieniu, zaklęty w posąg Józef Mehoffer, zaczął się zmieniać, lekko poruszać i ... rzeźba zmieniła się w człowieka. Stał przede mną wysoki, elegancko ubrany mężczyzna, który przypominał postać ze starych filmów. Trochę przerażona wstałam z ławki i dokładniej przyjrzałam się malarzowi. Poznałam go, ale nie byłam pewna, czy to Mehoffer.

- Kim pan jest?- zapytałam przestraszona.

- Nazywam się Józef Mehoffer. Nie znasz mnie?- odparł zdziwiony.

- Oczywiście, że znam. To pan zaprojektował witraże do naszego kościoła. Są w nim też pańskie obrazy.

- Tak, to właśnie ja, droga panienko - potwierdził.

- Mógłby mi pan coś opowiedzieć o tych dziełach. Skąd czerpał pan do nich natchnienie? - zapytałam.

- Kierowałem się strukturą obiektu w taki sposób, aby zbyt go nie zaciemnić. Wszystkie namalowane postaci miały podkreślać sakralny charakter wnętrza. Zaprojektowałem portret „Chrystusa Króla” w prezbiterium oraz kompozycję sklepienia. A witraże to dzieło mojej wyobraźni, która ożywała podczas czytania Biblii.

- Wiem, wiem, sklepienie wszystkim mieszkańcom przypomina rozgwieżdżone niebo.

- Młodzi ludzie zapewne nie mieli okazji, by usłyszeć, że współpracowałem ze znanym turkowianom proboszczem – Józefem Florczakiem.

- Tak- mruknęłam, bo rzeczywiście to nazwisko było mi obce.

W pewnym momencie Józef Mehoffer zamyslił się, wstał z ławki i zaczął iść przed siebie. Dogoniłam go, ponieważ chciałam z nim jeszcze porozmawiać. Ludzie zaczęli się za nami oglądać i dziwnie uśmiechać. W sumie czemu się dziwić.

Szłam chodnikiem z człowiekiem w staromodnym surducie i binoklach. Z człowiekiem, który już od dawna... nie żyje.

- Niedługo wakacje. Mam pytanie, gdzie najczęściej je pan spędzał? – zapytałam się mężczyznę, by wytrącić go z zadumy.

- W czasie letnich miesięcy wjeżdżałem z rodziną do cichych i zielonych miejsc - odpowiedział.

- Czy pan wie, że jest naszym lokalnym bohaterem?- zapytałam niepewnie.

- Ja, bohaterem...?

- Tak, ponieważ pańskie witraże są najważniejszym zabytkiem naszego miasta.

Po tych słowach zatrzymałam się. Nie wiedziałam, gdzie mój towarzysz nagle zniknął, więc wróciłam się do ławki, aby zabrać plecak. Ku mojemu zdziwieniu posąg znowu tam był.

Od tej pory, zawsze gdy przechodzę obok ławeczki Mehoffera lub na niej siadam, przypominała mi się niesamowita historia, która potwierdza, że można wędrować w czasie i przestrzeni. Co jeszcze? Poznałam znanego malarza, znanego Polaka, bliskiego sercu mieszkańców Turku. Ale czy mogę o tym komuś opowiedzieć?

MARCEL TOMCZAK

Z Łowicza do Turku

Dawno temu, w latach 60 dziewiętnastego wieku poznałem chłopca, który miał na imię Leon. Zaprzyjaźniłem się z nim i do teraz pamiętam, jak często wspominał, że w przyszłości będzie założycielem i właścicielem firmy. Chciał też, abym stał się jego partnerem w tym biznesie.

Po wielu latach postanowił wyjechać do miejscowości w sąsiednim województwie, o nazwie Turek. Po jakimś czasie usłyszałem, że w tym mieście Leon razem z innym współnikiem założył firmę. Na początku myślałem, że wiele osób ma tak na imię, więc raczej nie jest to mój przyjaciel z młodości.

Minęło parę kolejnych lat, gdy usłyszałem kolejne wieści na temat Leona, który został współorganizatorem pierwszej szkoły średniej w Turku. Postanowiłem przyjechać do miasta, w którym przebywał mój dawny przyjaciel. Pojechałem tam pociągiem.

Będąc w środku, starałem się dowiedzieć coś na jego temat. Wypytywałem się ludzi jadących razem ze mną i większość rozmów wyglądała tak:

- Przepraszam państwa, czy kojarzycie Leona Kruszyń-

skiego z Turku?

- Nie kojarzę. Ostatnio słyszałem o Lubomirze Kruszyńskim, który jest znaną osobą w tym mieście.

- Oj, ja nikogo takiego nie znam.

- Ja słyszałem o jakimś Leonie, ale to chyba nie ten, o którego panu chodzi.

Tak więc poza tym, że w tym mieście żyje Lubomir Kruszyński, nic więcej się nie dowiedziałem. Po paru godzinach jazdy dojechałem do Turku. Chciałem zacząć poszukiwania Leona, ale najpierw musiałem znaleźć hotel, w którym się zatrzymam.

Moje poszukiwania nie trwały zbyt długo i po kilku minutach znalazłem pokój w hotelu o nazwie Arkady, który mieścił się blisko Dworca Kolejowego. Postanowiłem, że zacznę szukać następnego dnia.

Zacząłem poszukiwania od pobliskiej mi okolicy, czyli centrum. Wypytywałem się każdego, kogo spotkałem i pukałem do każdego domu. Niedaleko znajdował się ratusz i kościół, zaprojektowany przez Konstantego i Jarosława Wojciechowskich. Wyglądał pięknie.

- Lecz nie tego tu szukałem! – stwierdziłem.

Następnie poszedłem na ulicę 3 Maja. Na tej ulicy znajdował się dom Straży Ogniowej, której mój poszukiwany, był podobno współorganizatorem.

Postanowiłem, że zapytam prezesa tego ośrodka o Leona. Okazało się, że mieszka bardzo niedaleko, więc od razu ruszyłem do wyznaczonego mi miejsca. Po chwili zauważyłem, że na drzwiach domu jest informacja dotycząca osoby, która tu mieszka.

Na drzwiach widniał napis lokatora: „Leon Lubomir Kruszyński”. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzył je mężczyzna.

- Jesteś Leon? - zapytałem.

- A pan kim jest? - zapytał mężczyzna.

-Pamiętasz mnie? Jeszcze gdy mieszkałeś w Łowiczu, byliśmy przyjaciółmi – odpowiedziałem.

- Razem bawiliśmy się na podwórku! Pamiętam! - wykrzyknął nieznajomy.

- Czyli twoje marzenie się spełniło, od zawsze chciałeś być w tym miejscu? - zapytałem.

- Na to wygląda - odpowiedział mężczyzna. - Tutaj naprawdę jest moje miejsce, dobrze mi tu - dodał.

- Mam nadzieję, że jesteś tutaj szczęśliwy? - spytałem.

- Oczywiście - odpowiedział.

Porozmawialiśmy jeszcze kilka chwil, po czym udałem się do wyjścia.

- Do zobaczenia, przyjacielu - powiedział Leon.

- Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy - odpowiedziałem.

Po 12 latach postanowiłem kolejny raz odwiedzić Leona. Pojechałem więc pod dawny adres. Tym razem, dzwoniąc do drzwi, bardzo się zdziwiłem. Drzwi otworzył młody chłopiec.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

- Tadeusz - odpowiedział.

- A czy mogę zapytać o twoje nazwisko? - dodałem.

- Kruszyński - odpowiedział młodzieniec.

- Czyli jesteś synem Leona, tak? - zapytałem.

- Tak - odpowiedział.

- A gdzie on teraz jest?

- Na zebraniu Związku Strzeleckiego. Zaraz wróci.

Po chwili po schodach, ku mojej uciechu, wszedł mój przyjaciel. Widząc mnie, również się ucieszył i powiedział:

- Witaj, kolego! Poznałeś już mojego syna Tadeusza - powiedział.

- Tak, bardzo miły chłopak.

- Wejdźmy do środka, nie będziemy przecież rozmawiać na klatce schodowej - stwierdził Leon.

- Dziękuję, że tak miło mnie przyjąłeś - odpowiedziałem.

- Myślę o założeniu gazety lokalnej o nazwie „Echo Turckie”, może chciałbyś być współzałożycielem? - zaproponował. - Bardzo dawno temu chcieliśmy przecież stworzyć własną firmę - dodał.

- Tak. Z chęcią, to było nasze marzenie od zawsze - odpowiedziałem.

- Cieszę się, więc może chcesz, abym cię oprowadził po naszym mieście? - spytał.

- Jasne, ciekawi mnie, co tu się zmieniło.

Po dwóch godzinach wróciliśmy do domu.

Parę lat później, po namowach Leona, kupiłem w Turku mieszkanie. Zamieszkałem tutaj, a po kilku latach zostałem współzałożycielem pierwszego klubu piłkarskiego w tym mieście. Tak powstał MKS Tur Turek. Klub ten dobrze i szybko się rozwinął. Dzięki naszym staraniom coraz więcej mieszkańców miasta zaczęło uprawiać ten sport.

Po wielu latach współpracy postanowiłem wrócić do rodzinnego Łowicza.



KONRAD CIEŚLAK

Historia pradziadka

Chciałbym opowiedzieć pewną historię, którą usłyszałem od mojego taty. Gdy mój tata był małym chłopcem, pewnego niedzielnego popołudnia dziadek zabrał go na ryby. Gdy siedzieli nad rzeką, dziadek zaczął opowiadać o pewnym generale, którego spotkał w Lublinie w roku 1936. Mój pradziadek pochodził z okolic Lublina, w czasie II wojny światowej został przesiedlony na tereny koło Turku, dlatego do tego spotkania doszło. W tym czasie generał Smorawiński był dowódcą II Korpusu w Lublinie. Ale do rzeczy, jak to się stało, że mój pradziadek i Smorawiński się spotkali.

Było piękne lato, lipiec 1936 roku, park w Lublinie, dziadek taty szedł akurat z przyjaciółmi z kina z filmu o Barbarze Radziwiłłównie. Film tak ich zafascynował, że zaczęli wymieniać poglądy i własne zdania na temat tego filmu. Nikt z nich nie zauważył, że idzie za nimi i przysłuchuje się tej rozmowie człowiek w mundurze wojskowym, który też był na tym filmie. Gdy emocje już delikatnie opadły, pan w eleganckim mundurze, grzecznie przeprosił i zadał jedno pytanie, do jakiej szkoły uczęszczamy, gdyż mamy bardzo trafne i mądre spostrzeżenia na temat filmu.

Rozmowa na ten temat trwała dobre 5 minut, po czym jeden z kolegów spytał się o stopień wojskowy, gdyż mundur był przepiękny. mężczyzna odpowiedział bardzo grzecznie:

- Jestem generałem, polskim generałem.

Po czym szedł z nimi przez park i dzielił się własnymi odczuciami na temat filmu. Gdy doszli do skraju parku, stało się coś, czego sam się nie spodziewał. Tych słów dziadek taty nigdy nie zapomni, generał powiedział tak:

- Młodzi ludzie, widzę w was prawdziwych patriotów i przyszłość Polski, dlatego zapraszam was jutro po szkole abyście przyszli do mojego garnizonu, gdzie odbędzie się spotkanie ze mną, na którym opowiem wam jak poradzić sobie podczas wojny.

Wtedy padło pytanie o nazwisko, odpowiedział:

- Jestem Mieczysław Smorawiński, dowódca II Korpusu w Lublinie.

Nikt wtedy nie przypuszczał, kim ten człowiek jest i jakie będzie miał znaczenie dla losów Polski.

Nazajutrz po szkole wszyscy, nawet ci, którzy nie byli zainteresowani tym pomysłem powędrowali do gar-

nizonu, aby posłuchać o bitwach, które stoczył w czasie I wojny światowej. Poznany przez nich generał opowiadał o ludziach, wsiach i miastach którym niósł pomoc i dawał wolność. Radość w ludzkich oczach, której nie da się opisać, to trzeba samemu zobaczyć. Jego słowa były tak ekscytujące, jakby w tym momencie stoczył bitwę z nieprzyjacielem i ją wygrał, a my byśmy byli ocalałymi Polakami. To był wykład na temat, jak trzeba się zachować podczas wojny. Powtarzał słowa:

- Zawsze, bez względu na to, kim jesteś i z kim masz do czynienia, czy z wrogiem, czy z przyjacielem, bądź człowiekiem. Nigdy nie trać swojej godności i człowieczeństwa.

Gdy już zwiedzili cały garnizon, generał zaprosił ich do swojego centrum dowodzenia. W tamtych czasach wyglądało to inaczej niż teraz, ale na nich robiło to wielkie wrażenie: mapy, schematy rozmieszczenia wojsk, stacjonujące oddziały w określonym miejscu i wiele innych wskazówek. To było miejsce, z którego można było dowodzić armią i wygrywać. Ostatnim miejscem, które zwiedzili był duży magazyn broni. Otworzył go żołnierz, który powiedział, że mogą oglądać broń, ale jej nie dotykać, mimo że nie była nabita. Były tam różne pistolety, karabiny i znów padło trafne zdanie z ust Smorawińskiego:

- Teraz możecie popatrzeć na broń, którą dysponuje-

my, ale nikt z was nie wie, kiedy, lub czy po nią sięgnie, by chronić granic Polski.

Wtedy zwiesił głowę, spuścił wzrok i rzekł:

- Oby nigdy do tego więcej nie doszło, byście walczyli o wolność.

To było tak fascynujące, że dziadek z tatą nie zauważyli, że ryba bierze i porwała wędkę, która leżała na brzegu rzeki oparta o drzewo. Na szczęście mieli jeszcze jedną i opowiadanie mogło trwać dalej. Smorawiński widząc, że młodzież jest zaciekawiona jego opowieściami, zaproponował im wstąpienie do szkoły podoficerskiej w Lublinie, którą często odwiedzają inni oficerowie. Wielu kolegów postanowiło wstąpić do tej szkoły w tym mój pradziadek.

Teraz po tylu latach sam chodzę do szkoły imienia generała Smorawińskiego. Wiele dzieci nie wie, kim on do końca był, jednak ja jako nieliczny mogę się pochwalić, że mój pradziadek spotkał na swej drodze tego niesamowitego człowieka. Jestem dumny, gdyż mój dziadek brał udział w II wojnie światowej jako żołnierz i przeżył, może dzięki nauce, którą wyniósł po rozmowach z generałem.





LENA ŁUCZAK

Zaszczytna wizyta w Białym Domu

Chciałabym opisać przygodę, którą przeżyłam wspólnie ze swoim przyjacielem Henrykiem Glicensteinem, który był wielkim, cenionym artystą - rzeźbiarzem, grafikiem, malarzem. Poznałam go i zaprzyjaźniłam się z nimi podczas mojego pobytu na wakacjach w Italii. Później sama udałam się na emigrację do tego kraju i odtąd zamieszkaliśmy blisko siebie i często spędzaliśmy wspólnie czas.

Po kilku latach podjęliśmy decyzję o zmianie miejsca naszego zamieszkania. Nie podobały nam się rządy Mussoliniego. Nikt nie znał naszych planów i początkowo nie dostrzeżono, że Henryk nosi się z zamiarem opuszczenia kraju. Zrobił to w tajemnicy, bo obawiał się, że zostanie zatrzymany siłą. Niestety jednocześnie nie mogliśmy wszyscy w tym samym czasie opuścić państwa. Henryk, jego syn Emmanuel i ja wyjechaliśmy pierwsi, a jego żona i córka musiały czekać na pozwolenie. W rezultacie zamieszkaliśmy w Stanach Zjednoczonych, najpierw w Chicago, a później w Nowym Jorku.

W roku 1928 r., w prasie pojawiła się informacja, że pewnego wiosennego dnia, Henryk Glicenstein opuścił Włochy, w których przebywał przez 10 lat. Artysta na wyprowadzkę wybrał piękny słoneczny dzień. Promienie

słońca odbijały się od starych kamienic, wysokich drzew i roślin.

Artysta stworzył pomnik Ignacego Paderewskiego - wspaniałego pianisty. Było to ogromne osiągnięcie. Wiele ludzi dowiedziało się wtedy o twórczości mojego przyjaciela.

Byłam z niego ogromnie dumna. Proces tworzenia tego dzieła trwał bardzo długo, włożył w to ogrom pracy i serca. Co najlepsze, byłam świadkiem tego procesu oraz dołożyłam do tej pracy swoje przysłowiowe pięć groszy. Kolejnym sukcesem było popiersie samego prezydenta Theodora Roosevelta. Po wykonaniu pomnika władcy został on zaproszony do samego Białego Domu w Waszyngtonie. Teraz właśnie rozpoczyna się cała historia.

Pojechaliśmy tam razem. Czuliśmy ogromny zaszczyt, że mogliśmy zwiedzić takie piękny i ważny budynek oraz porozmawiać z władzami. Pod nasz dom przyjechała bogato zdobiona karoca z białymi końmi, która zawiozła nas do celu. Na miejscu spotkała nas jeszcze większa niespodzianka. Zostaliśmy bardzo mile przyjęci. Przed siedzibą było wielu mieszkańców bijących brawa. Przechodni oglądali się za nami i składali Henrykowi gratulacje i wyrazy szacunku. Przez środek placu rozciągał się czerwony dywan prowadzący

do głównych drzwi wejściowych, a na samym końcu stał sam prezydent, który powitał nas uśmiechem i uściskiem dłoni.

Sposób powitania i zachowanie włodarza wskazywały, że jest on dumny i wdzięczny, że może gościć nas u siebie. Potem rozpoczęła się uczta. Na talerzach na środku stała pieczona gęś nadziewana jabłkami i inne smakowicie wyglądające potrawy. Moją uwagę zwróciła piękna bogato zdobiona zastawa oraz złote sztuce. Każdy element dekoracji oraz wystrój wnętrza pasowały do siebie. W powietrzu unosiła się woń wytrawnych przygotowanego jedzenia. Służba wykonywała swoje obowiązki z wielką starannością, dbając o dobre samopoczucie wszystkich uczestników wieczerzy. Zarówno ja, jak i przyjaciel czuliśmy się tam wyjątkowo docenieni.

Po zakończeniu uczyty mieliśmy przyjemność zwiedzić wszystkie komnaty w zamku, przyjrzeć się obrazom i rzeźbom wykonanych przez innych artystów. Oddana do użytku w 1800 roku rezydencja została wybudowana w stylu neoklasycznym, czyli takim, który wzoruje się na budowach starożytnych. Jest z kamienia. Pobyt w tym miejscu skłoniła mojego przemyśleń do wielu refleksji i przemyśleń. Wspaniale wspominały tę wizytę. Byliśmy zaszczytzeni takim ogromnym wyróżnieniem.

JULIA ANDRZEJAK ***Śladami lokalnych bohaterów***

Najbardziej rozpoznawalnym dla mnie lokalnym bohaterem jest Józef Mehoffer, znany dla mieszkańców Turku jako wspaniały i niezastąpiony projektant kolorowych witraży i wykonawca polichromii w Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dlatego w moim opowiadaniu nakreślę historię tego wspaniałego artysty oraz podkreślę jaką ważną osobą jest dla mojego miasta.

Józef Edler von Mehoffer urodził się 19 marca 1869 roku w Ropczycach, mieście w zachodniej części województwa podkarpackiego. O jego rodzinie mówi się, że byli austriackimi urzędnikami.

Aldona, matka Józefa, z rodziny Polikowskich, głównie zajmowała się domem, oraz wychowaniem trójki dzieci. Na temat ojca wiadomo tyle, iż zmarł bardzo wcześnie, ponieważ w 1873 roku, gdy Mehoffer był małym chłopcem. Ukończył on I Liceum Ogólnokształcące im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie. Następnie zdobył on wykształcenie na Akademii der bildenden Kiinste Wien oraz na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, równolegle studiując na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Również mówi się o jego edukacjach paryskich, w Academie Colorossi i Ecole des Beaux-Arts. Dzięki możliwości studiowania w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, Mehoffer miał zaszczyt zostać uczniem samego Jana Matejki. Z pomocą mistrza, uczeń akademii krakowskiej poznał Zygmunta Pusłowskiego, który wspierał Józefa, pomógł mu rozwinąć karierę wybitnego malarza, ufundował mu paryskie stypendium oraz gościł go między innymi w salonie polityczno-artystycznym wraz z innymi artystami.

Mehoffer odwdzieczył mu się w 1913 roku, malując w swojej pracy pałac Pusłowskich. W swoim życiu poznał również pisarza Stanisława Wyspiańskiego w Paryżu, z którymi dzielił fascynację do sztuki. Był też jednym z dowodzących Towarzystwa Artystów Polskich, która nosiła nazwę „Sztuka”. Wiadomo, iż był on żonaty z Jadwigą Janakowską, oraz był dumnym ojcem Zbigniewa, który urodził się w 1900 roku.

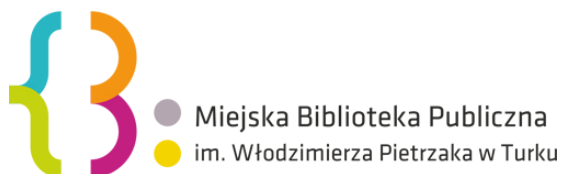
Mając tak ogromny potencjał i umiejętności Mehoffer został również nauczycielem młodych artystów. Niestety 8 lipca 1946 roku w Wadowicach Józef Mehoffer odszedł z tego świata, z powodu choroby jaką była gruźlica. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Mówi się, że jest to malarz Młodej Polski, delikatny i wrażliwy na sztukę, z ogromnymi umiejętnościami artystycznymi.

Jako wybitny artysta umiejętności Józefa Mehoffera były na bardzo wysokim poziomie. Potrafił malować na sztaludze, portrety kredkowe, portrety postaci historycznych wraz z ich szczególnymi cechami, uprawiał akwafortę, akwatintę, autolitografię, jest to grafika artystyczna. Projektował części artystyczne książek, wszelkie okładki, czy zdobienia. Uważany za projektanta nie tylko obrazów, ale też banknotów, znaków towarowych czy afiszy.

Mimo namalowanych obrazów, Mehoffer znany jest również jako projektant wspaniałych polichromii i witraży kościelnych. Dokonaniem ważniejszym w życiu artysty było zrealizowanie takiego właśnie projektu w Kościele NSPJ w Turku w 1932 roku. Z archiwalnej korespondencji artysty z ks. Florczakiem wiadomo, iż dwa lata później przystąpiono do realizacji 8 witraży, które zamontowano przed wybuchem II wojny światowej. Oprócz tego projektu, artysta również namalował dla kościoła kilka obrazów olejnych. Zważywszy na wojnę, plany Mehoffera uległy drastycznej zmianie i nie udało mu się dokończyć swojego dzieła, wiadomo jednak, że jego życzeniem było ukończenie projektu dla kościoła w Turku.

Według mnie ten wybitny artysta i malarz wykonał dzieła, które utożsamiają się z historią mojego miasta, natomiast wspaniałe witraże przyciągają uwagę nie tylko mieszkańców, ale również odwiedzających turystów,

co zwiększa atrakcyjność miasta, ale i również opowiada o pewnym, ważnym etapie dla Turku. Dlatego Józef Mehoffer jest bohaterem wartym uwagi za swoje osiągnięcia, o czym świadczy uhonorowanie jego osoby pomnikiem, w postaci samego artysty siedzącego na ławce, wpatrującego się w architekturę kościoła, bądź podziwiającego swoje arcydzieło, które chwyta turkowie za serce.



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Włodzimierza Pietrzaka w Turku



Publikacja powarsztatowa „Śladami lokalnych bohaterów” powstała w ramach projektu „Śladami lokalnych bohaterów” i stanowi część Zadania „Działajmy razem - wielkie rzeczy w małym mieście” finansowanego z

**BLISKO – BIBLIOTEKA | LOKALNOŚĆ | INICJATYWY |
SPOŁECZNOŚĆ | KOOPERACJA | ODDOLNOŚĆ**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w ramach realizacji Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0. na lata 2021-2025.



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach realizacji Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0 na lata 2021-2025

